

PLACÓWKA

TYGODNIK WOJSKOWY, SPOŁECZNY, NAUKOWY I LITERACKI

Redakcyja i Administracyja: Lwów, Akademicka 3, II. p.
Redaktor naczelny i odpowiedzialny: Dr. Kazimierz
Hartleb. — Godziny urzędowe Redakcyi i Administ.
codz. od 9—12 i od 4—6. W niedz. i święta od 10—12



Ceny ogłoszeń: Cała strona 320 Koron, $\frac{1}{2}$ str. 160 K.
 $\frac{1}{4}$ str. 80 K, $\frac{1}{8}$ str. 40 K, $\frac{1}{16}$ str. 30 K. — Ogłoszenia w rubryce „Nadesłane“ 1 Korona od wyrazu.
Prenumerata kwartalnie 12 K, pojedynczy numer 1.50 K.



POLSKA POŻYCZKA PAŃSTWOWA

MINISTERSTWO SKARBU

Urząd Pożyczek Państwowych i Skarbu Narodowego

MARSZAŁKOWSKA Nr. 154

ogłasza niniejszem, że zapisy na Polską Pożyczkę Państwową 1918 roku przyjmują:

KASY URZĘDU,

Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa, Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, Towarzystwa Kredytowe Miejskie, oraz wszystkie Banki Akeyjne i Domy Bankowe w swych Instytucjach Centralnych i Oddziałach, Towarzystwa Wzajemnego Kredytu, Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowe i inne Instytucje Drobnego Kredytu, a także Kasy powiatowe i Poczty.

Pożyczka 1918 r. w wykonaniu dekretu oraz uchwały Rady Ministrów z dnia 3. listopada 1918 r. została wypuszczona na warunkach następujących:

1) Krótkoterminowe zobowiązania skarbowe (asygnaty Polskiej Pożyczki Państwowej 1918 r.) zabezpieczają się całym majątkiem Państwa Polskiego i wszystkimi jego dochodami.

2) Asygnaty są wypuszczane w odcinkach po 100, 500, 1.000, 5.000, 10.000 marek polskich, koron w walucie austriackiej oraz rubli.

3) Asygnaty oprocentowane są w stosunku 5 proc. rocznie, przyczem procent jest wypłacany nabywcom za rok z góry przez potrącenie go z ceny sprzedaży, z odpowiednim dyskontem w zależności od daty nabycia.

4) W dniu 1. listopada 1919 r. Skarb Polski wycofa asygnaty w drodze wykupu w walucie, w której asygnaty wydane zostały lub w razie przejścia Państwa Polskiego na nową walutę — w nowej walucie polskiej podług kursu, który obowiązywać będzie dla konwersji wszelkich zobowiązań płatniczych.

Granice południowo-wschodnie Polski pod względem strategicznym.

W niedługim czasie powinien rozstrzygnąć się problem nader ważny: zagadnienie granic Polski. Rozwiązanie tej kwestji zależy nie tylko od czynników postronnych, ale i w naszym ręku spoczywa. Sądzę, że nie obojętną będzie rzeczą rzucić słów parę o kwestji granic Rzpltej. I to granic południowo-wschodnich. Kresów nam najbliższych. Z góry zastrzegam się, że ograniczę się tylko do zagadnienia tej nam najbliższej rubieży i że nie kuszę się o rozprawę naukowo-wojskową, tylko o słów kilka, wyjaśniających zagadnienie granic z punktu widzenia wojskowego — dla laików — dla „cywilnych“, dla młodych żołnierzy. Jak wiadomo, często natura już sama jasno na mapie wykreśliła granice, np. Hiszpanii, Włochom. Kiedynziej granice wytyczano dowolnie, patrząc tylko na względy wojskowe. Granice rozbiorowe Polski były takimi granicami sztucznymi, opartymi o tzw. baryery wodne, jako silne, naturalne fortyfikacje. Schodzą się one z liniami frontów wojny światowej 1914-8. (v. Romer, Polska, Ziemia i Państwo).

Mylnem jest zdanie, że Polska jest pozbawiona granic naturalnych, że inaczej rzekłszy, nie jest indywidualnością przyrodzoną. O tem dużo pisano i to nie jest celem niniejszego artykułu. A grubym błędem byłby przeoczać potrzeby strategiczne w wykreślaniu mapy powstającej Polski. Granica strategiczna jest nieodzowną. Ktokolwiek będzie naszym sąsiadem wschodnim, Rosya czy Ukraina, carat czy bolszewizm, będzie sąsiadem silnym, a bardzo naiwnym kto myśli, że sąsiadem, z którym nigdy w zatarg zbrojny nie popadniemy. Spełniłbyśmy zbrodnię na własnym narodzie, gdybyśmy nie dążyli do granic, które będą skuteczną obroną przed najazdem i doora furtą dla ciosu, który jest najodpowiedniejszym zastąpieniem przed napadem. Rękę podaje nam okoliczność, że Polska jest pewną całością odrębną geograficznie, a indywidualności geograficzne już prawem biologicznem mają obronę przyrodzoną w walce o byt. Dawno wiadano, że Polska jest całością naturalną, wszak o tem pisał już w r. 1847 Zebrowski w swej „Polsce“, — i ma swój naturalny systemat obronny. Major Bystro-

nowski, autor wojskowy, w r. 1842 dostrzegł w Polsce naturalny systemat obronny Karpat i Polesia, kresów południowo-wschodnich. Zagadnienie wpływu stosunków geograficznych na prowadzenie wojny jest zadaniem geografii wojskowej. Każdy łatwo zrozumie, że terytorium wpływa na prowadzenie wojny już to swym obszarem już to jakością. Wielkość terytorium, mającego być zajętem przez operacje wojenne jest już poważnym czynnikiem strategicznym. W r. 1807 zajęcie Prus przez Napoleona W., a w r. 1870 Francji przez Prusaków wyczerpało armie zwycięskie, w r. 1812 Rosya wygrała wielkością obszaru swego, w r. 1905 zredukowała pogrom mukdeński do minimum. Dla nas na razie kwestya ta zostanie obojętna. Odrzucimy nawet zastanowienie się nad pytaniem, czy nie byłoby dla nas najlepiej być jak najbliżej tętnicy sąsiada wschodniego naddnieprzańskiej.

Przypatrzmy się jakości terytorium, jego ukształtowaniu i zaludnieniu. Jakość terytorium tak pojęta zaważy na szali wojny, gdyż wpływa na ruchy wojsk. Ułatwia je, utrudnia lub unicestwia. Jasne, że wygrywa silniejszy. Moralnie przedewszystkiem, a z równych duchem, ten kto w czasie i w miejscu zgromadzi większą siłę, kto więc ma większą swobodę ruchu, lepsze komunikacje. Ponadto terytorium wpływa na utrzymanie wojska. Czy potrafi armię zakwaterować i zaprowiantować, co znów zależy od zaludnienia danego terytorium.

A więc ten ma większą swobodę ruchów, lepszą komunikację, kto porusza się na obszarze, którego ukształtowanie geograficzne nie przeszkadza ruchom wojsk, a jasnem że przeszkadzają góry, większe rzeki, bagna, jeziora, wreszcie lasy — i kto zbudował korzystniejszą sieć dróg — żelaznych, wodnych, szos. a zaopatrzył je w sztuczne urządzenia obronne — fortyfikacje. Na wartość strategiczną obszaru składają się i dane strategiczne granic. Ich jakość, to znaczy, czy mogą odegrać rolę przeszkody ruchu dla wroga a nadto stęsunek granic do kraju. Granice mogą być za długie do wielkości kraju, zanadto wysunięte lub wcięte w kraj tak, że spełnią rolę bastjonu łamiącego atak. Granica za długa, za kręta wymaga zanadto liczebnych sił obronnych, wsuwający się bastyon może doprowadzić do oskrzydlenia. Takim bastyonem, oskrzy-

EDWIN ROSENFELD JĘDRKIEWICZ.

DUSZA.

(Dokończenie).

Tylko prawda, że to teraz story pozapuszczane. Jakże by też to?... Aha: on sobie zejdzie, stanie gdzieś przy drzwiach, a potem raniutko, tylko sklep otworzą, wysunie się cichuteńko. Bo imby nawet pewno ciężko bardzo było, szefowi i szefowej, jakby widzieli, że odchodzi. Bo jacy tam są — no, a przecież każdy ma swe wady — ale do niego serdecznie przywiązani i opiekował się tak nimi dotąd, uważał na wszystko, żeby kto sobie nogi na posadze nie zламаł —

A co do wad, to czy może kto ich niema? A czasem nawet trudno, bardzo trudno, się od nich ustrzedz. Czy nie można to było posadzić tu kiedyś szefowej, że naumyślnie tej pani zamało pieniędzy wydała?

A czy znowu może nie usprawiedliwiał lekko-myślnie tej damy, tej lafi... co to zawsze jakiś ma czekać przed bramą aż — — I wstyd mówić.

Albo Franek. Cóż ten Franek takiego znowu zrobił, żeby go tak nie lubieć?

Świątek westchnął bardzo głęboko. Tak, tak: podejrzliwość, niewyrozumiałość...

I pewnie wszystkoby było inaczej i lepiej, by ino ta dusza... Żeby się dowiedzieć, co to i gdzie ona i jak?... Jakoś to się tak czuje, tak mocno, że —

I wtedy to, podniósłszy oczy, spostrzegł świątek ową rzecz potworną nad swoją głową. Lampka ciskała tam właśnie smużkę żółtego światła, a w niem chwiała się lekko strasna roździawiona paszcza na kadłubie, wieloma dzikimi skrętami oplatanym na zielonych różkach. Podobne to było całkiem do owego okropnego stworzenia, którego obrazek przyniósł raz mały Julek do sklepu i pokazywał pani szefowej. Tylko tamto było na obrazku i było nieruchome a to czaiło się tuż nad głową.

— A może to jemu nie wolno stąd odejść i to, to czuwa, aby się nie wymknął?

Czy przecież — doprawdy — czy też to nie jest tylko taka kiełbasa dziwaczna jakaś, grubą, niezwykłą i pokręconą, jedna z tych, jakie Franek wczoraj tam zawieszał? Ale skądby też znowu wziął

dla jej groźnie Prusy, było przed r. 1914 Królestwo. Tylko zwycięstwo Hindenburga ocaliło kraj od zguby.

Znamiennem jest, że granice przyrodzoe, wytworzone naturalną ewolucją są zbite, proste, nierozwidlone, bez guzów i odnóg. Mierosławski, oglądając mapę Rosji z naroślą zachodnią, czyli Królestwem napisał ongi, w r. 1845: „W każdym ciele organicznem są węzły, do których przywiązane jest życie... W stworzeniach zaś potwornych, które gwałtownie sklejone są przypadkami... węzły te wychodzą bokiem i sterczą, wystawione na każde niebezpieczeństwo zewnętrzne, jak wiszące jelita... Zdrowe tedy państwo, nie sklejone przypadkowo, unika guzów, wystawionych na niebezpieczeństwo. Takim jeliem, wiszącym na wierzchu, byłaby granica wschodnio-południowa Polski, gdyby zrezygnowała z Podkarpacia (Łemkowszczyzna, Ruś Czerwona) z części wyżyny lubelskiej (Chełmszczyzna) Opola, (wsch. połacie Rusi Czerwonej) Podola i części Wołynia, wyżynnej. Problem wartości granicy strategicznej wymaga by była prosta, krótka, więc zbliżona ogólnie do południka i to bardziej niż 24 stopni na wschód od Greenwich oddalonego (południk Lwowa), może być pochylona ku południowemu wschodowi, by objęła stare geologicznie wyżyny, strukturą przyrodniczo zbliżone do starych gór Małopolski i Lubelszczyzny. Droga to naturalna, historyczna, której przeszła praca zdobywcza dla kultury Lechitów dla kultury Lechitów jeszcze przed najazdem bizantyjsko-normańskim Włodzimierza Wielkiego. Zanim rozbiierzemy skrupulatniej poszczególne punkty wybitnej wagi strategicznej, Brześć Litewski z Polesiem, „trójkąt” wołyński i wyżynę podolską, chciałbym zwrócić uwagę na strategiczne znaczenie Wołynia. Obronność Polski wytacza trójkąt Modlin—Kowno—Włodzimierz Wołyński. Poznano to już bardzo wcześnie. W południowym odcinku boku trójkąta obronnego, między Polesiem a Karpatami Wołyn jest bramą naturalną szlaku Kijów—Warszawa, drogą wolną od jarów Podola i bagien Polesia. Przedpoiem zaś Włodzimierza Wołyńskiego jest systemem forteczny wołyński, założony nad silnymi baryerami wodnymi prawego dorzecza Prypeci i u stóp potarganej krawędzi północnej Podola. Kluczem do Warszawy jest Wołyn. Równocześnie atoli wciąż

gnięcie całego Wołynia w obszar Rzpltej nie przyniosłoby korzyści dla Polski. Wschodnia połacie Wołynia jest typową krainą lasów (wzwyż 40 proc. obszaru). Teren lesisty tamuje przegląd i swobodę poruszeń, jest przeszkodą dla nóg i oczu. Literatura wojskowa zgadza się na to, że tzw. defenzywa rozstrzygająca, defenzywa, która ma doprowadzić do złamania sił przeciwnika jest w lasach niesłychanie utrudniona. Natomiast ruchy wojsk przed lasami są bardzo udogodnione, gdyż lasy zakrywają rezerwy, zwłaszcza przed latawcami. Jasne, że musimy doprowadzić granicę naszą do linii lasów wołyńskich. W samych lasach, jako w terenie nieprzejrzyście i niewygodnym dla przetrwania wojsk naraża się armię operacyjną na pastwę niespodzianki.

Przypatrzmy się teraz bliżej tak pomyślanej granicy południowo-wschodniej.

Pierwszym punktem, pod którym oglądamy terytorium ze względu na ważność militarną jest orografia jego, układ pionowy. Jaką tedy jest rzeźba kraju, jego góry i doliny. Pod tym względem granice nasze pld.-wsch. aż do Karpat nie dają pola do rozważań geograficzno-militarnych. Rzeźba wyżyny lubelskiej czy Roztocza, garbów i rynien wołyńskich czy płaty podolskiej nie jest tak wybitna, żeby mogła odegrać rolę strategiczną, nie sprowadza warunków t. zw. wojny górskiej. Jedynie Podole, potężnym działaniem wód pokrajane w głębokie jary następcza pewne utrudnienia ruchom wojsk, przedstawia naturalne wzmocnienia polowe. Przypominamy sobie jak jary podolskie zatrzymały ofensywę austro-niemiecką w r. 1915 w lecie, jak tu front skrzepł, jak północny brzeg Podola, guz, dział wodny Prypeci i Dniestru nie ruszył się w czasie wielkiej ofensywy Brusilowa w czerwcu 1916, jak z tejże okolicy wyszedł atak unicestwiający ostatnią ofensywę rosyjską w r. 1917. Każdy więc przyzna, że wyżyna podolska choć w części musi należeć do nas, żebyśmy byli właścicielami obrony naszych dzierżaw południowych. Znamiennem jest, że brzegi zachodnie jarów podolskich są wyższe od wschodnich, więc śmiało rzecz można, że są podobne do okopów, zwróconych przeciw Polsce. Tedy wymogi strategiczne dyktują nam posiadanie tych jarów. Aneksja całego Podola byłaby niekorzystna ze względów innych, choćby dlatego,

się w kielbasie, na samym końcu taki szeroko rozdzielony, równo wycięty otwór, w którym lyskają białe plamy?

Z przeciętą konwulsyjnie na prawe ramię głową, z wciśniętym kurczowo w biodro łokciem błogosławiącej dłoni, znieruchomiał, oczu nie mogąc odwrócić, patrzył świątek długo w ową okrutną i drapieżną istotę. Aż nagle coś się w nim takiego stało — czy to może to, że lampka nagle zaskwierczała znowu: dusz-sza, dusz-sza — czy co to takiego było, dość, że ani nie wiedząc kiedy — posunął się o krok ku drabinie. Ale w tej właśnie chwili stała się rzecz najstraszniejsza. Jakiś głuchy zamęt zakotłował się nad głową świątka a potem — potem ze wszystkich stron: z góry, z tyłu, z obu boków spadło nań, oblało, zwojami chłodnymi się okręciło, skrępowało —

Zmartwiał, czekał świątek z zamkniętymi oczyma. Niechże się już stanie, niech się stanie to wszystko, najgorsze, niech go porwie, rozszarpie, tak jak ta wielka czerwono lakierowana maszyna na dole, co chwytala okrutnymi kielcami mięso i darta i miałała je.

Ale nic się nie stawało. Tylko jakiś bolesny skwierk odezwał się tuż obok i wzmacniać zaczął szybko i w nos uderzyła fala nieustępliwych, zgrzytliwych odorów.

Ostrożnie rozsunął powieki. Przez szparę między owijającym się oń jednym a drugim grubasnym brązowym splotem ujrzał:

To coś upadło tak, że ogon jego zahaczył się właśnie o lampkę. I teraz płomień jej wżerał się w to cielsko, ćmił tam, kurzył, skwierczał...

I na ten widok rozrzewnił się świątek bardzo. Bo to ona jedyna tu, jedyna ta lampka, ona, której niedocenił, na którą się krzywił, ona go broni jeszcze, przypieka tego potwora, chce odgnać. Bo teraz był już świątek pewny: to nie była zwykła kielbasa na jednym końcu szeroko rozpekła, to było coś, co zrodzić się musiało z wszystkiego tu naokoło, z tych ćwierci ciętych, z leniwych cielsk kielbas, z niebieskawego połysku nożów, ze słoi-ków musztardy. Z tego wszystkiego się to wylęło i przyszło go tu strzedz, tak, by się stąd nie ruszył, by nie dowiedział się, co to dusza.

A przypalony potwór śwędział, skwierczał, ale z miejsca się nie ruszał.

że n. p. przesunięta poza 26° wsch. Greenwich (Ska-
łat) utworzyłaby takie „wiszące jelito“, o którym mó-
wiliśmy wyżej.

Drugim punktem, który zbędziemy pobieżnie jest
gospodarcze znaczenie obszarów południowo-wsch. Ale
pominiemy tę kwestję nie dla małej wagi, owszem, ży-
wność przyrodzona ziemi jest ważnym zagadnieniem dla
wojskowości, ale dlatego, że chcemy poruszyć tu tylko
kwestję par excellence wojskowe. A przeto oszczędzimy
przytaczania szeregu cyfr, które n. p. wywodzą, że
Wołyń należy do najbogatszych prowincji w konie
i o nim gospodarka wojskowa zapominać nie może.

(Dok. nast.).

S. P.

TADEUSZ MICHAŁ NITTMANN.

Żołnierska modlitwa o wiosnę.

Wielki Panie! Stworzycielu świata
Daj niech luta zima już przeminie,
Niech spokojem napełni się chata
Daj niech z roli bratnia krew odpłynie.

Daj niech zelżą bezlitosne mrozy
Niechaj ściennie wichry w zdradnej kniei
Połącz zgodą dwa wrogie obozy
Rozpal wreszcie nam słońce nadziei!

O wiosno! przyjdź —
w okopy zmarzniętych żołnierzy
Kapłanko dusz! — o wnijdź
Do naszych serc — naszych leży.

O wiosno ty!
Zazielen murawy kobierce
Kwiatami przystroj bzy —
Kwiaty... wnies w nasze serce.

— Wielki Boże! Wszechmogący Panie!
śnieg niech stopi Twe słońce gorące,
Ranny w boju niechaj znajdzie łożo
nie na mrozie, lecz na kwietnej łące.

W sąsiedniej izbie odezwały się kroki, głosy,
trzaskania drzwiami, — to wszystko, co zapowiadało
ranek. A potem skrzyła się trzaskiem, jedna stara,
druga, trzecia i łeb Franka kiwać się zaczął przy
drzwiach wchodowych. Wtedy przyszedł i szef. Przy-
szedł — i od progu zaraz pociągnął mocno nosem.

— Cóż za choroba tak śmierdzi — zauważył roz-
glądając się wokół. I zaraz spostrzegł. W jednym
mgnieniu. Poczerwieniał ino na tłustej gębie i już
gnął z krzykiem ku drabinie.

— Czekaj Franek, cholero! — ryczał, szarpiąc
drabinką, że stęknęły aż ciężkie ćwierci na szaragach
obok — czekaj ściervo, ino ja stąd zleżę, to z ciebie
złodzieju duszę wypuszczę...

I nagle zrobiło się świątkowi tak, jakby to
w jego głowie ktoś z trzaskiem podnosił jakieś
zapuszczone dotąd story: jedną, drugą, trzecią... Bo
przecież: dusza tej laf... miała się gdzieś smarzyć,
tu przed nim się teraz oto to smarzyło, szef z Franka
duszę wypuści — — To wszystko musi być i jest
ze sobą w bliskim jakimś związku i on, świątek,
on tę duszę teraz napewno zobaczy, dowie się, co
to — no, bo przecie szef ją wypuści — —

Niedaj marnieć tej żołnierskiej rzeszy
wśród śniegowej burzy i zawiei,
niech się serce ich biedne ucieszy
jasnym słońcem, tem słońcem nadziei.

O! wiosno, wiosno zstąp
na ziemię zasnętą mgłami,
Wnijdź w chaty nowej zrab
i zostań! o! zostań z nami.

Marzanno — Ty!
Złam moce srogiej zimy
Ku Tobie lecą sny
Czekamy — i wierzymy!

Święty Boże! Święty nad Świętymi
Daj doczekać owej wiosny ludów,
Pierwszej wiosny nowej, wolnej ziemi,
w świecie prawdy, niewyśnionych cudów.

Chroń nas zawsze, jak chroniłeś Panie
od kul wrażliwych, gdy śmierć oczy skleci
Niech nam błysnie — choć na pożegnanie
Słońce wiosny, to słońce nadziei!

Luty 1919.

Z dziejów wojskowości polskiej.

II.

Jak za czasów saskich rozbiło wojskowość polską?

W poprzednim artykule*) stwierdziliśmy, że wiek
17. był najświetniejszym okresem naszej wojskowości.
Świetne czyny wojenne, uwieńczone powstrzymaniem
wrogów i utrzymaniem wcale poważnego stanowiska
Polski w rzeszy europejskiej (udział w koalicji anty-
tureckiej za Sobieskiego i odzyskanie Podola w pokoju
karłowickim, 1699) — to wszystko jest tylko zasługą
wojska samego, podczas gdy ogół społeczeń-

*) Por. Placówka Nr 1 str. 6 i 7.

Ale wtedy ujrzał świątek przed sobą wykrzy-
wioną z wściekłości gębę szefa i równocześnie
wszystko: ściany, izba, lampka i stoły zatańczyły,
zawirowało i pierzchnęło gdzieś w ucieczce gwał-
townej. Potem trzask — i jakieś takie dziwne uczucie
i wreszcie ujrzał świątek przed sobą, ale daleko
swą własną prawą rękę zwisającą z przedostatniego
szczebla drabinki a nad sobą opadającą szybko o-
gromną masę, na końcu której chwiała się głowa
szefa. Usłyszał także, ale jakoś bardzo niewyraźnie,
obrażony głos szefowej:

— I jeszcześ się szkoda zrobił...

Więcej już nie słyszał, bo obcas pana Marcina
Stasinka, szefa wielkiej i znanej firmy rzeźniczej
i masarskiej rozbił w proch jego gipsową, bladą
głowę.

Nie dowiedział się, co to dusza.



stwa ówczesnego, t. j. szlachta, kierowana przez magnatów nie mniej od niej politycznie krótkowzrocznych, pracuje nieświadomie, ale statecznie nad podkopaniem wojskowości. Niezawodną bronią w tej walce, w skutkach zbrodniczej, było nieuchwalanie podatków, a względnie niepłacenie uchwalonych, choć niewystarczających. Okresem przełomowym, kiedy nastąpiło katastrofalne w skutkach rozstrzygnięcie, to czasy Augusta II. i wywołana przez niego „wojna północna“.

Sądy historyków o tym królu i o tych czasach nie są zgodne, ostateczny wyrok dziejów jeszcze nie zapadł. Podczas gdy ogół historyków dawniejszych, a za nimi wszyscy historycy „popularni“, potępiają bezwzględnie Augusta i na niego całą winę zwalają, zajmują niektórzy nowsi, bardzo poważni uczeni stanowisko odmienne, jak np. nestor naszych współczesnych dziejopisów, prof. Tad. Wojciechowski i niedawno zmarły Tad. Korzon. Nie zapominajmy, że to powagi pierwszorzędne! — Sprawę należy rozpatrzyć przede wszystkim ze stanowiska państwowości. Oto August II., jako człowiek wielkiej ambicji, która zresztą przewyższała jego zdolności, działał zrazu na korzyść Polski. Przez udział w ostatnim momencie wojny tureckiej, przysłanie wojsk saskich na pomoc i korzystny pokój karłowicki wzmocnił swoje stanowisko w narodzie. Dążeniem jego było wyniesienie swej dynastji Wettynów; w tym celu dążył do dziedzicznej korony w Polsce, ale rozumiał zrazu, że dynastja będzie tylko wtedy silną i poważaną, jeżeli Polska będzie silną potęgą. Mała Saksonia musiała zejść na drugi plan. Chciał August II. być dziedzicznym królem Polski, ale chciał mieć w niej silny rząd. Sądził, że uzyska to wszystko za zgodą szlachty, jeżeli popisie się przed nią taką zasługą, jaką już było odzyskanie Podola. Nową tą zasługą miało być odzyskanie Inflant i dlatego zawarł sojusz z Piotrem I. i Danią przeciw Szwecji. Sprawa była ważna dla Polski — wszak Zygmunt August i Batory walczyli o Inflanty i znaleźli poparcie narodu. Niestety August II. było, że jeden z sojuszników, car Piotr, podszedł go, a korzystając z błędów króla i narodu, korzystając ze szczęśliwego „zbiegu okoliczności“, obrócił wszystko na swoją korzyść. Błąd Augusta, do którego redukuje się jego wina w tym okresie, to tylko błąd formalny. Rozumiejąc, że trudno będzie ciężkie, w kwiatyżmie pograżone, jeszcze bogate, a znuzone już długimi wojnami społeczeństwo zanaleć do nowej wojny, rozpoczął August II. kroki wojenne przeciw Szwecji w sposób nielegalny, bo bez uchwały sejmowej. Społeczeństwo powinno było jednak wznieść się ponad formalne stanowisko, zrozumieć, że tu idzie o powagę państwa wobec zagranicy, wobec nieprzyjaciela i sojuszników, zrozumieć, że te wszystkie czynniki nie rozumieją tak formalistycznego poglądu, aby można zwalczać króla polskiego, nie walcząc z Polską. Szlachta wyparła się jednak swego króla, dała do zrozumienia szwedzkiemu Karolowi XII., że chce z nim żyć w pokoju, a zwała winę wojny na Augusta II. Oczywiście, że zrezygnował a chytry Szwed robił dobre miny do polskich malkontentów, że ogłosił się przyjacielem Polski, ale że lekceważył naród, okazujący taki brak ambicji politycznej. Ze takim właśnie było zdanie Karola XII., okazały najbliższe wypadki.

Znakomite wyćwiczone, choć szczupła armia szwedzka bije Duńczyków i niewykształcone jeszcze na sposób europejski tłumy Rosjani i rzuca się z całą furją na Polskę, której bronią prawie tylko wojska saskie. Zajęcie prawie całej Litwy, wkroczenie Karo-

la XII. do Korony, to skutki tej polityki. Naród, który za żadną cenę nie chciał wojny prowadzić, odczuł teraz na swych barkach całą jej grozę. Lekceważąc naród szlacheckich antymilitarystów, pustoszą i plądrują szweccy „przyjaciele“ Polskę tak samo, jak ongi za Jana Kazimierza. Bardzo smutną rolę odgrywa w tych czasach młody jeszcze i niedoświadczony, lekkomyślny król „z szwedzkiej łaski“ Stanisław Leszczyński. Później, po latach, gdy zahartowany ciosami losu i doświadczeniem, sięgnie po raz drugi po koronę przeciw Augustowi III., odegra Leszczyński rolę wybitną, będzie kandydatem narodowym do korony przeciw cudzoziemcowi, położy w tej walce, a jeszcze bardziej na wygnaniu wielkie zasługi wobec narodu. W czasie wojny północnej natomiast był Leszczyński — powiedzmy bez ogródek — tylko maryonetką w ręku Szwedów. Posłuchajmy, co o tem mówi wielki pisarz, łączący gorący patriotyzm z głęboką erudycją, co mówi Tadeusz Korzon:

„Nie mając ani skarbu, ani wojska, ani jednego z ministrów Rzpltej, ten nielegalny, przemocą obwołany, król Stanisław nie mógł pozyskać przywiązania nawet u swoich Wielkopolan, którzy konfederowali się jedynie w nadziei pozbycia się Szwedów przez zawarcie z nimi pokoju, lecz teraz doznali zupełnego zawodu... Stanisław bezradnie patrzył z okien zamku warszawskiego na pędzoną przez oficerów szwedzkich szlachtę, która wypłacić się nie mogła, lub oporem ich zemstę na siebie ściągnęła“.

Tymczasem August II. nie próżnuje, lecz próbując obrony pozyskuje stronników w Małopolsce, którzy zawiązują ku jego obronie „Konfederację Sandomierską“, podczas gdy jego przeciwnicy zorganizowali się jeszcze poprzednio pod protektorem szwedzkim w „Konfederację Warszawską“. Obie konfederacje zbroją się przeciw sobie, obie mają cudzoziemców za sojuszników, ci Szwedów, tamci Sasów, a obie te obce armie walczą rzekomo tylko dla dobra Polski. Na domiar złego zjawia się jeszcze jeden „przyjaciel“, Piotr I., który po pierwotnej klęsce, zebrał bez trudności ze swych niewolniczo uległych tłumów nowe wojska, zajął łatwo ogolone z wojsk szwedzkich prowincje nadbałtyckie*) i wpadł na Litwę. Pustoszy kraj, grabi i plądruje, a przy sposobności dając folę prawosławnemu fanatyzmowi, znęca się nad unitami, mordując nawet własnoręcznie ich kapłanów. — I oto zbiera nasze ówczesne społeczeństwo owoce swego antymilitaryzmu, swego zaślepienia w dążeniu do pokoju za wszelką cenę. Kraj niszcza przemarsze, rekwizycje i rabunki pięciu odrebnych armii, bo trzech obcych (Sasi, Szwedzi, Moskale), a dwu polskich, t. j. konfederatów sandomierskich i warszawskich. Do wojny zewnętrznej przyłącza się najstraszniejsza ze wszystkich wojen, wojna domowa.

Pomijamy dalszy przebieg wojny: klęski Augusta w Polsce i Saksonii, upokarzającą dla niego pokój w Alt-Ranstadt i zrzeczenie się tronu polskiego na rzecz Leszczyńskiego, — następnie awanturniczy pochód Karola XII. w głąb Ukrainy i fantastyczne popieranie ukraińskiej niepodległości. Fantastyczne i nie-realne, bo tylko garść kozaków pod Mazepą stanęła

*) Karol XII. nie miał tyle sił, aby obsadzić równocześnie i swoje posiadłości nadbałtyckie (Inflanty, Estonię, Ingryę, Karię, Finlandyę), a równocześnie działać w Polsce. Gdy główne swe siły powiodł na Augusta, musiał tamte ziemie opróżnić. Wtedy to Piotr zdobył się na czyn nader śmiały i ryzykowny, gdyż rozpoczął budowanie nowej swej stolicy Petersburga na ziemi, która jeszcze formalnie do Szwecji należała. Budowę rozpoczęto w r. 1703, podczas gdy dopiero pokój Nysztadzki z r. 1721 oddał te ziemie formalnie Rosji.

przy nim, a ogół drżał przed carem. Karyera polityczna Karola XII. kończy się srogą jego klęską pod Połtawą, czego następstwem jest upadek Leszczyńskiego i powrót Augusta II. do Polski.

Innym jest teraz jednak stosunek Augusta II. do narodu. Już w czasie, gdy Karol XII. wprowadzał na tron Leszczyńskiego, brał się August do zdradzieckich matactw, obiecując to Prusom, to Rosji niektóre ziemie polskie w zamian za poparcie. Obecnie widząc, że naród jego dawniejsze plany pokrzyżował, widząc w narodzie brak zmysłu politycznego i samobójcze warcholstwo, osłabiające siły państwa, postanawia August II. odtąd realizować swe plany wbrew narodowi, a przy najmniej wbrew opinii publicznej. Planu jego nie godzą wprowadzić jeszcze w państwowe stanowisko Polski, ale środki działania jego są etycznie tak haniebne, że rzecz udać się nie może, a sprowadza nadto na Polskę nieszczęście. Zamyślał August II. spowodować opinię publiczną szlachty, wywołać powstanie, aby je zgnieść przemocą i narzucić się narodowi jako król dziedziczny i absolutny. Pod pozorem, iż wojna jeszcze nie ukończona (w istocie na ziemiach polskich nie walczone już wcale, bo Szwedów w kraju nie było), trzyma w Polsce dość znaczne wojska saskie, którym pozwala rabować i plądrować. Liczy na to, że to wywoła rewolucję szlachecką, którą te wojska zgniotą. Szatański plan udał się, ale tylko w części: Sasi rabowali, jak było w planie, — szlachta burzyła się i zawiązała konfederację w Tarnogrodzie**) przeciw Augustowi II., jak było w planie, — ale do zgniecenia konfederatów nie doszło, gdyż wbrew planom Augusta II. wystąpił z „interwencją” jego „kochany przyjaciel”, — car Piotr I.

Przebywał on w Gdańsku, skąd kierował dalszą akcją wojenną przeciw Szwedom, podczas gdy poseł jego, książę Dołgoruki, działając według jego wskazówek intrygował i niby pośredniczył między konfederatami a królem. Jakim było to pośrednictwo, przekonują nas listy, które pisał poseł już pod koniec r. 1715. do hetmanów i marszałków konfederackich. Są tam pogroźki, że poseł odwoła się do wodza wojsk carskich feldmarszałka Szeremetiewa — znane i nam współczesnym nazwisko! — „w okolicy już tu będącego, aby te wojska, do Pomeranii destinowane, chciał tu zatrzymać”. Car zaś sam dawał do zrozumienia, że przeciw tej stronie, którąby ugody przyjąć nie chciała (tj. przeciw królowi, lub przeciw konfederatom) wyśle 18.000 wojska. Pod tą presją zgodziły się obie strony na zgodę, szlachta w swym naiwnym zaślepieniu dość łatwo, bo widziała, że car przeciw królowi występuje, król w niemym, lecz bezsilnym gniewie. Tak więc pod dyktatem Piotra I. przychodzi do skutku traktat warszawski z 3. listopada 1716., zatwierdzony 1. lutego 1717. na osławionym „sejmie niemym”, który bez rozprawy przyjął warunki „ugody” między królem a narodem. Konfederaci uznali ponownie Augusta II. królem, który jednak zrezygnować musiał ze swych planów zaprowadzenia silnego rządu, nadał zupełną amnestję i uznał dotychczasową formę rządu z wszystkimi jej wadami, jak rządy sejmikowe, liberum veto itd. Nie miało praktycznego znaczenia słuszne w teorii postanowienie, że nie tylko rozwiązuje się istniejące wtedy konfederacje, ale znosi się w ogóle wszelkie konfederacje na przyszłość. W istocie nikt tego postanowienia nie przestrzegał i w

Polsce nadal zawiązywano najrozmaitsze konfederacje, które w myśl „tradycji konfederackich” działały prawie zawsze szkodliwie i po warcholsku. Ponieważ cara uznano na sejmie gwarantem ugody, przeto pod względem politycznym należy sejm ten uważać za początek końca niepodległości Polski.

Pod względem wojskowym oznacza „sejm niemy” ruinę polskiej wojskowości. W chwili jego zawarcia były w Polsce następujące rodzaje wojsk: 1) armia koronna, 2) armia litewska, 3) t. zw. „żołnierz powiatowy”, tj. oddziały wojsk zaciężnych, utrzymywanych przez sejmiki ziemskie, a wreszcie 4) wojska saskie, które mogłyby wspierać siły polskie, gdyby była zgoda między królem a narodem. Na propozycję Rosji, a ku zupełnemu zadowoleniu zaślepionej szlachty uchwalono następującą „ugodę” wojskową: król wycofuje wojska saskie z kraju, aby nie zagrażały fortunom i wolnościom szlacheckim, szlachta natomiast rozpuszcza „żołnierza powiatowego”, który mógł być narzędziem rewolucji przeciw królowi.

Był to niepospolity sukces Rosji, bo w ten sposób odpadły dwie kategorie wojska. Armie koronną i litewską uczyniono nieszkodliwymi przez t. zw. „Regulamin regularnej placu wojsku”. Dzięki opłakanyom stosunkom skarbowym otrzymywały wojska nasze żołd bardzo nieregularnie, co już w 17-wieku było powodem buntów i zaburzeń żołnierskich. Sejm „niemy” miał temu zapobiedz, ale zamiast pomyśleć o poprawie skarbu, przystosował ilość wojska do tego, co niezorganizowany, niezasilany skarb mógł dać. Uchwalono więc dla armii koronnej etat na 18.000, a dla litewskiej na 6.000 żołnierzy. Oprócz tego mógł król trzymać najwyżej 1.200 ludzi gwardyi.

Wobec sąsiednich państw, które mogły wyprowadzić w pole 200.000 do 300.000 ludzi, była Polska z 25.000 ludzi już prawie bezbronna i nie miała siły do ratowania swego bytu. W praktyce było jeszcze gorzej, gdyż nie było pieniędzy nawet na 25.000 żołnierzy. Urzędowy wykaz z r. 1755. stwierdza, że całe wojsko „obojsza narodów” wynosiło 16.450 głów*). Powodem tak rażącej różnicy było, iż owych 25.000 uchwalonych przez „sejm niemy”, był to właściwie uchwalony etat na tyleż szeregowców, co nie oznaczało wcale, że państwo ma mieć 25.000 wojska, Panowała bowiem wtedy u nas, a na razie i w innych krajach potworna zasada, że oficerów i podoficerów płacono według t. zw. „porcji”. „Porcja” był to żołd ustawowo wyznaczony na jednego szeregowca. Szef pułku pobierał 30 porcji, pułkownik 20, podpułkownik 17 i pół, major 15, kapitan 12, porucznik 6, chorąży 4, felczer, furier, sierżanci, kaprale po półtora. Nadto opłacano porcjami koszt utrzymania wozu z końmi, zamykania i okuwania w łańcuszki aresztantów, dostarczania różeg do egzekucji itp. potrzeb. Porcję obliczono na 200 złp., co było sumą dość wysoką. Płace oficerów, jak na ówczesne stosunki drożyzniane uchodziły za wcale wysokie. Ze sumy 25.000 porcji należy tedy potrącić płace oficerów, podoficerów i różne wydatki administracyjne, wszystko w „porcjach” obliczone, co wszystko oczywiście zmniejszało niesłychanie ilość porcji, które zostały na opłacanie szeregowców, a tem samem i liczbę szeregowców samych. W innych państwach zniesiono ten niemożliwy system już w ciągu pierwszej połowy 18. wieku, u nas ulegalizowane to nadużycie utrzymało się.

**) Była to właściwie konfederacja małopolska, chociaż tytułowała się „generalną”, ale wspólnie z nią działały konfederacja litewska, zawiązana w Wilnie i Wielkopolska, zawarta w Srodzie.

*) Cyfry według Korona „Dzieje wojen i wojskowości w Polsce”, tom III, str. 91, 92, 105, 106, 107.

Pod względem technicznym popełnił też „sejm niemy“ błędy niezwykle w swym „organizowaniu“ wojska. Z każdej litery tej osławionej ustawy widać, że układali ją częścią ludzie złej woli (car i oddane mu osobniki, bo byli już tacy!), częścią dyletanci cywilni, nie mający pojęcia o wojskowości. I tak ograniczono władzę hetmanów, redukując ją do samej komendy nad wojskiem, a pozbawiając ich władzy ministrów wojny, którą dotychczas mieli. Prawda, że władza hetmańska w Polsce była poprzednio nadmierną, tak że król i wogóle wszelkie czynniki rządowe prócz hetmana nie miały właściwie nic do powiedzenia w sprawie wojska. Obecnie jednak oddano całą administrację wojskową t. zw. „trybunałom skarbowym“, a więc władzy cywilnej, finansowej, której członkowie o wojskowości nie mieli pojęcia. Trybunał, złożony wyłącznie z czynników obywatelskiego (senatorów i szlachty) uważał za swe zadanie dbać o całość kieszeni obywatelskich i redukować do minimum wszelkie wydatki na wojsko. Było to coś takiego, jak gdyby obecnie zniesiono ministerium spraw wojskowych, a zarząd ich oddano ministerstwu skarbu! Drugim niesłychanym błędem rzeczowym w organizacji z r. 1717. było, iż została liczebna przewaga konnicy nad piechotą, co było niesłychanym anachronizmem. Według ówczesnych zasad taktyki konnica odgrywała już tylko rolę drugorzędną, a bronią główną była piechota. W żadnej innej armii europejskiej nie był wtedy stosunek konnicy do piechoty większy, niż 1:3, podczas gdy u nas był prawie wprost odwrotnym. Zresztą piechota, zwerbowana z włościan i mieszczan, posiadała u nas bodaj jaką taką karność, o czym u szlacheckiej konnicy i mowy nie było. W małej armii polskiej miał tedy przewagę liczebną rodzaj broni mniej potrzebny, kosztowniejszy i mniej karny.

Dla dopełnienia obrazu dodajmy, że Polska ówczesna była jeszcze mimo zniszczenia wojną krajem tak bogatym, że mogła wystawić wojsko zupełnie wystarczające do obrony. Na uczty i pijatki marnowano w czasach saskich olbrzymie sumy, olbrzymie sumy wywiozły też w epoce rozbiorów łupieżne wojska państw zaborczych. Znaleźliby się też i za czasów saskich ludzie do wojska przydatni. Dość wskazać, że jeszcze na rok niespełna przed nieszczęsnym sejmem „niemym“, według spisu urzędowego z 1. maja r. 1716. było w Polsce 50.000 regularnego wojska, z czego 36.000 przypada na samą Koronę.

Przeciętny ogół szlachecki nie miał jednak pojęcia o tem, że uchwały r. 1717. uczyniły Polskę bezbronną, że ją pędzą wprost do zatury niepodległości. Panowie bracia szlachta rozmawiali w ten sposób: Wojnę prowadzi się przy pomocy wojska, jeżeli więc wojska nie będziemy mieli, to nikt z nami wojny prowadzić nie będzie, zakwitnie więc wieczny, błogi pokój... Będziemy szczęśliwie, zawsze..., jeść, pić i posuszczać pasa...

Nic dziwnego, że od r. 1717. nie odgrywała już Polska żadnej roli pomiędzy państwami europejskimi, że nikt się z nią nie liczył, że wszyscy sąsiedzi pomiatali bezbronnym krajem, który nie potrafił nawet obronić swej neutralności, jak to się okazało w wojnie siedmioletniej, kiedy trzy sąsiednie państwa, Austria, Rosja i Prusy, walczyły ze sobą, a armie ich przechodziły bezkarnie przez ziemie „neutralnej“ Polski, łupiąc, pustosząc i rabując. Wtedy to przekonali się też ci sąsiedzi, że można na Polsce dopuścić się bezkarnie jeszcze większej zbrodni.

Stąd już krok tylko do pierwszego rozbioru, a następnie do zupełnego rozszarpania Rzeczypospolitej.

Żołnierz podhalański.

Zakopane w lutym.

Ma ten żołnierz już swoją zaszczytną kartę w historii zbrojnych ruchów polskich. Podhale czuło się zawsze nierozdzielalną częścią Rzeczypospolitej polskiej i przy każdej sposobności manifestowało swe wierne uczucia, pieczętując to niejednokrotnie krwią swoją serdeczną. Góral ma zresztą wrodzone tradycje rycerskości sięgające czasów Batorego, uświadomiony był narodowo może najwięcej ze wszystkich chłopów polskich, nie dawał posłuchu zbrodniczemu podszeptom byłych władz austriackich, czego dowodem jest choćby takie „powstanie chochołowskie“, kochał i kocha swoją ziemię i bronić jej potrafił. Lud rosły, zdrowy, zahartowany, sprytny, przebiegły i odważny był zawsze pierwszorzędnym materyałem wojskowym. Wiedział o tem dobrze dawny rząd austriacki, który w ciągu ostatnich lat wojny wybrał przeszło 100.000 górali i wcielił w szeregi. Jak się sprawowali jako żołnierze, rzecz wiadoma.

Mimo ścisłej przymusowej branki austriackiej do Legionów zgłosiło się dobrowolnie aż tylu synów Podhala, którzy wszędzie gdzie pojawili się na froncie, zasługiwali na najwyższe pochwały. Z powołanych przez były rząd austriacki dotąd, jak wykazuje statystyka, nie powróciło blisko 50.000 ludzi. Ubytek olbrzymi, a jednak ludzki rezerwoar podhalański z daje się być niewyczerpany. Po ogłoszeniu niepodległości Polski, kiedy potrzeba armii okazała się sprawą piekącą, do szeregów zgłosiło się natychmiast wielu — jedno też z pierwszych posiłków przybyłych do Galicji wschodniej pod Chyrow, były dzielne oddziały podhalańskie. Górale rwali się na odsiecz Lwowa, sami prosili o wysyłkę na kresy wschodnie — i w istocie byłyby stąd szły znaczne dosyć siły, gdyby nie zdradziecki napad Czechów. Trzeba było stawić mu czoła, zatrzymać podstępne podsufwanie się na ziemię podhalańską. Na Podhalu zawrzało z oburzenia: starzy i młodzi zaprzysięgli bronić każdej piędzi ziemi i od razu utworzyli zapórę nie do przełamania.

Komendant okręgu podhalańskiego pułkownik Galica, świetny żołnierz i organizator, ukochany przez swych podwładnych czuwa pilnie na granicach Podhala i pewny jest, że żaden wróg nie przekroczy jego obszaru. Mielśmy sposobność rozmawiać z pułkownikiem: wysoki, rosły, z typową twarzą górala, o energicznych ruchach opowiadał nam wiele szczegółów o obronie przed Czecho-Słowakami, z uśmiechem kończąc, że „zjedzą dyabła a nie dostanie się tu żaden“. Wpatrzni w swego wodza oficerowie potwierdzali oczyma to proste żołnierskie powiedzenie.

Tego samego przekonania jest każdy żołnierz podhalański, który z dniem każdym pomnaża tutejsze szeregi. Pobór przeprowadzony w dniach 10 i 11 lutego dał wyniki bardzo dobre: przybędzie materyał świetny, którego tylko ubrać i wyekwipować a w przeciągu krótkiego czasu stanie się sprawna częścią armii polskiej. Żołnierz ten nie tylko obroni swe ukochane Podhale, ale siłą wcieli do Polski dawne jej ziemie Spiż i Orawę, po które wyciągają się zachłanne, zaborcze ręce.

STEFANIA DANKNEROWNA.

Północne kresy Polski.

Mocarstwa centralne runęły w gruzy. Polska podnosi się wreszcie z przeszło stuletniego letargu, i z wolna zrastają się jej rozdarte członki.

W tak ważnej chwili dziejowej, wartoby przypomnieć sobie, jak też wyglądają kresy północne. Jakie jest ich znaczenie dla nas, ileśmy zyskali a ile stracili przez długi czas niewoli.

Mówić tu będę o Prusach królewskich, a także nieco o książęcych, mianowicie o rejencji olsztyńskiej. Przedewszystkiem rozpatrzmy położenie tych krajów.

Na północy oblewa Prusy morze Bałtyckie. Wybrzeże jest niskie, źle rozczłonkowane, pełne wydm ruchomych, zalewów i mierzei. Nad całym krajobrazem pracowały szczególnie lodowce, których pozostałości w postaci moren i jezior znaleźć można wszędzie. Nad samym morzem rozciąga się dolina pomorska, poprzdzielana rzeczkami na liczne wklęsłości, w których leżą najważniejsze miasta. Środkiem kraju biegnie jeden rząd moren końcowych, z południowego zachodu na północny wschód a drugi od Drawy aż do Świecia. Pierwszy osiąga swą najwyższą wysokość w górach Szymbarskich. Wśród tych moren, które mają kształt nieregularnych pagórków, znajduje się wiele jezior i stąd ten kraj nazywa się Pojezieriem Pomorskiem, które wchodzi w skład pasu Pojezierza ciągnącego się od półwyspu Jutlandzkiego aż do Finlandyi. Na południe od tych wzgórz rozpościerają się piaski, na których rozsiały się bory tucholskie. Pojezierze pomorskie łączy się w dalszym ciągu nad Wisłą z mazurskiem. Dolina Wisły jest stroma, sama płynie zakolami tworząc mnóstwo wysepek. 50 kilometrów od Bałtyku rozdziela się Wisła na dwa ramiona Leniwkę i Nogat, który uchodzi do zalewu wiślanego. Delta Wisły jest pokryta żuławami t. j. ziemią bardzo żyzną i urodzajną.

Ludność tych krain jest mieszana polsko-niemiecka. W skład ludności polskiej zaliczyć można także Kaszubów, którzy jakkolwiek jeszcze niezupełnie uświadomieni narodowo, jednak są przywiązani do ziemi i języka, zatem przedstawiają ogromną siłę żywotną.

Miejmy nadzieję, że pod rządami Polski, pod racjonalnym wpływem kościoła i szkoły, ci ludzie będą wkrótce w całej pełni uświadomieni i staną się dobrymi obywatelami kraju.

Obszar Prus zachodnich wynosi 25,553 km. kw. o ludności 1,703.000 mieszkańców. Ludność polska jest nierównomiernie osadzona, procent jej waha się w różnych miejscowościach od 25 procent do 75.

Co do gleby, to na pojezierzach znajduje się t. zw. bielica, (t. j. piasek krzemionkowy zmieszany z gliną), na której rosną przedewszystkiem lasy. Zresztą ziemia nie jest urodzajna z wyjątkiem żuław nad Wisłą. Ze zbóż produkuje się najwięcej żyta, owsa, jęczmienia i ziemniaków. Świetnie za to rozwija się hodowla bydła rogatego i nierogatego, jakoteż koni. Szczególnie wysoko stoi gospodarka lasowa.

Płodów górniczych prawie że niema, znajduje się tylko nieco węgla brunatnego. Za to bogato rozwinął się przemysł w Grudziądzu, Gdańsku, Toruniu itd. Z rodzajów przemysłu należy przedewszystkiem wymienić rolniczy i domowy, który szczególnie wysoko stoi u Kaszubów a nadto drzewny, okrętowy itd.

W związku z przemysłem i handlem jest też i komunikacja. Główną arterią ruchu jest Wisła, która tu jest najlepiej uregulowana przez co znacznie odciąża koleje. Linie kolejowe biegną wzdłuż Wisły po obu jej stronach a nadto przechodzi linia z Berlina na Wilno do Petersburga. Samo się przez się rozumie, że tak w przyszłości pozostać nie może. Musimy mieć bowiem połączenie Gdańska z miastami kresowemi, które będą przechodzić szlaki handlowe to zn. ze Lwowem, Poznaniem i Wilnem. Gdańsk wogóle był pod tym względem zaniedbany, albowiem Prusacy nie poprowadzili ani jednej linii kolejowej, łączącej bezpośrednio Gdańsk z miastami większemi, obawiając się konkurencyi dla Szczecina.

W związku z tem stoi sprawa Gdańska. Gdańsk musi należeć do Polski, i sami Gdańszczanie gdy przejdzie pierwszy szal szowinizmu wyciągną do nas ręce. Czemże bowiem był Gdańsk za czasów pruskich? Drugorzędnym portem Niemiec a obecnie stanie się oknem na świat Polski, stanie się węzłem dróg lądowych i morskich, będzie skupiał w sobie cały wywóz i przywóz do kraju. Obok Gdańska jednak musimy mieć także Elbląg, raz dlatego, że w rękach obcych mógłby się stać groźnym dla Gdańska, gdyż przez odpowiednią regulację Wisły może mu zabrać wodę, powtóre że gdyby Gdańsk nie chciał lub nie mógł należeć do Polski, uczynimy z Elbląga port konkurencyjny Gdańska, który go w krótkim czasie zniszczy. Biorąc to wszystko pod uwagę jako też dawne tradycje wierności dla Polski, Gdańsk namyśli się i wejdzie w skład dawnej swej ojczyzny.

Ziemie pruskie zamieszkiwał w części lud Prusaków, pokrewny Lotyszom a w części szczepy słowiańskie. Ludy te były pogańskie i Polsce przypadła rola apostolska. Rola ta była trudna i niewdzięczna. Wszak znana jest męczeńska śmierć św. Wojciecha. Nawet papież uwolnił Polskę od wypraw krzyżowych, aby tem skuteczniej walczyła z pogańskimi sąsiadami. Pomorze łatwiej sokołowano i nawrócono, ale z powodu niedbaństwa następców Bolesława Krzywoustego stracono cały prawie kraj na rzecz Niemców z wyjątkiem pomorza kaszubskiego i gdańskiego.

Gdy jednak napady Prusaków ponawiały się ciągle, Konrad mazowiecki założył polski zakon Braci dobrzyńskich, którzy jednak w pierwszej walce wyginęli. W miejsce ich przyzwano Krzyżaków, którzy przybyli w roku 1228 i nadano im jako lenno ziemię chełmińską i nieszwąską. Mistrz Krzyżacki po dwukroć sfałszował dokument, tak że w końcu ziemi te stały się lennem św. Piotra. Krzyżacy podbijali kolonizując osadnikami z Niemiec ziemię Prusaków, mordując ich bez litości, tak że wkrótce nie pozostał po nieszczęśliwych żaden ślad, oprócz nazwy. Wkrótce jednak za mało im było Prus. Zawezwani przez Łokietka w pomoc przeciwko Brandenburczykom, którzy podstępnie posiadli Pomorze, wypędzili ich wkrótce, ale też i nie oddali tej ziemi Polsce. Zajęli ją sami, wyciąwszy przytem bezbronną ludność w Gdańsku (Długosz) a na żądanie Łokietka, aby oddali Pomorze, zażądali kosztów wojennych, których suma przewyższała wartość całego kraju.

Długie lata ciągnęły się spory, wdawał się w to i papież, nie nie pomagało. Krzyżactwo wprowadzie legło pobite pod Płowcami, ale ziemi zagrabionej nie oddało. Ugodowo załatwił sprawę Kazimierz Wielki traktatem Kaliskim w roku 1343, w którym odstąpił Pomorze jako jałmużnę Krzyżakom. Sprawa na jakiś czas ucichła, aby potem rozgorzec tem sil-

niej. Wprawdzie padła rozbita buta krzyżacka na polach Grunwaldu i Tannenbergu ale się nie złamała — w dalszym ciągu byli ciężkimi dla sąsiadów i srogimi panami dla swoich poddanych, którzy zawiązywali związki między sobą, byle tylko pozbyć się niewoli.

W końcu związek pruski poddał się w r. 1440 królowi polskiemu Kazimierzowi Jagiellończykowi, który wypowiedział z tego powodu wojnę zakonowi. Trzynastoletnia walka zakończona została drugim pokojem Toruńskim w r. 1466, w którym ostatecznie podzielono posiadłości krzyżackie na Prusy królewskie z Gdańskiem i Toruniem, które dostały się Polsce i na Książęce z Królewcem, które nadano jako lenno polskie Krzyżakom. Tymczasem na zachodzie wystąpiła reformacja która ostatecznie rozstrzygnęła los zakonu krzyżackiego. Mistrz Albrecht Hohenzollern-Anspach przyjął protestantyzm i jako książę świecki złożył hołd Polsce w r. 1525. Potem w r. 1563 przeniósł Zygmunt August prawo sukcesji na linię Hohenzollern-Brandenburg. Skorzystano z tego prawa w r. 1618, gdy po wygaśnięciu linii Hohenzollern-Anspach, przyznano Janowi Zygmunutowi z linii brandenburskiej tron Prus książęcych jako lenno polskie.

Gdańsk po dwakroć podnosił bunt, raz za Zygmunta I-szego, drugi raz za Batorego, który go pokromił, obszedł się jednak z nim łagodnie, skutkiem czego pozostał Polsce wiernym aż do rozbioru.

A elektorowie brandenburscy korzystają tylko ze sposobności, aby się uwolnić od zwierzchnictwa Polski. Traktatem welańsko-bydgoskim (1657), zwolniono Fryderyka Wilhelma od obowiązku składania hołdu a w r. 1701 Fryderyk I. koronował się królem pruskim.

Polska przez własną nieopatrzność wyhodowała węża na swym łonie. Wkrótce zaczął się upadek Rzeczypospolitej. Wtedy pierwsi Hohenzollernowie wyciągnęli chciwą rękę po nasze dziedziny. W pierwszym i drugim rozbiorze (1772 i 1793) otrzymali Prusy królewskie.

Potęga krzyżacka po raz wtóry leży w gruzach — sprawiedliwość dziejowa winna zwrócić Polsce jej prawowite ziemie.

Kongres uwzględnił nie tylko nasze prawa historyczne do Prus królewskich, lecz przyjdzie do przekonania, że nasz rozwój ekonomiczny, nasz handel przyszły, potrzebuje koniecznie własnego portu, własnego pobrzeża i władztwa nad krajem, który jako położony nad ujściem Wisły, panuje nad tą główną arterią wodną.

Inż. ROMAN FELIŃSKI.

Przyszłość i dom inwalidów wojennych w Austrii.

Z tego, iż u nas w Galicji kwestya przyszłości inwalidów wojennych nie została należycie przez byłą rząd austriacki zorganizowaną — nie należy mniemać, iż tak samo było w całej Austrii. Powyższe zadania znalazły powszechniejsze zrozumienie i należytą opiekę rządu — ale poza krajem polskim. Jak w Niemczech, tak samo i w Austrii ustaliła się w sprawie zaopatrzenia inwalidów ogólna opinia i rozpoczęło należyte zorganizowanie i wydatnie przez rząd popierana realna działalność.

Tak samo jak i w Niemczech, tak pod ich wpływem

i w Austrii, wszystkie usiłowania w kwestyi inwalidów zmierzają do zabezpieczenia inwalidom — domul Ten rys występuje wszędzie — z wyjątkiem naszego kraju.

Zrodzona w Niemczech idea zapewnienia inwalidom oraz wdowom i sierotom po poległych — mieszkań a względnie domów z ogrodami, owych „Kriegerheimstätten“, przeniosła się rychło i do Austrii.

Początkiem przeszczepienia tejże niemieckiej idei „Kriegerheimstätten“ w Austrii, była działalność gminy miasta Wiednia. Przystąpiła ona mianowicie pod przewodnictwem swego prezydenta dr. Weiskirchnera w listopadzie 1915 r., do stworzenia funduszu celem wzniesienia w Aspern pod Wiedniem, osady dla 718 rodzin wojskowych. Osada ta złożona jest z 184 domów po 2 rodziny, 58 domów czterorodzinnych a prócz tego planowane jest jeszcze powiększenie 25 domów.

Obywatelska ta ośmierność gminy Wiednia zasługuje na wyraźne podkreślenie. Mianowicie dla kolonii obejmującej 135.088 m kw. powierzchni, oddała gmina 113.942 m kw. będących jej własnością na 60 lat za czynszem dzierżawnym — 100 K rocznie! Reszta gruntów, będących w posiadaniu c. k. armii, została również oddana dla kolonii pod takimi warunkami.

Pozatem dla utworzonego funduszu t. zw. „Wiener Kriegerheimstättenfonds“ ośiarowała gmina pół miliona koron, przyjmując zarazem gwarancję za dalszą kwotę jednego miliona oraz zapewniając jego oprocentowanie i amortyzację. Następnie przyjęła na siebie gmina Wiednia koszt wykonania dróg i kanalizacji dla wymienionej kolonii, w kwocie przeszło 400.000 kor. koszt całej kolonii obliczony został na 5 milionów koron.

Dodać też należy, iż Wydział krajowy dolnej Austrii przyłączył się do tej akcji i objął również gwarancję wraz z amortyzacją i oprocentowaniem na kwotę jednego miliona koron, a tak samo i rząd przyrzekł odpowiednią pomoc.

Dzisiaj działalność na polu „Kriegerheimstätten“ cieszy się w niemieckiej części Austrii wielką popularnością i tworzy się cały szereg organizacji o zupełnie realnych zadaniach.

Powyższa ośmierność i obywatelskie zrozumienie ogólnego dobra specjalnie przez gminę Wiednia, może być przykładem dla naszych miast. Posiadają one często znaczną ilość gruntów miejskich, które z ogólną korzyścią mogą być użyte, na odpowiednio u nas zreformowane „siedziby inwalidów“*).

W dolnej Austrii dla przeprowadzenia i urzeczywistnienia osad inwalidów powstał „Amtsstelle zur Fürsorge für landwirtschaftliche Kriegsinwalide“.

Zaznaczyć należy, iż tak samo jak szereg tego rodzaju niemieckich związków, również i ten został poważnie zasilony funduszami państwowymi. Mianowicie, na cele związku, jakimi są gospodarcze „ogniska wojenne“ dla inwalidów, uchwalił dolno-austriacki Wydział krajowy utworzyć fundusz osadniczy, dla którego sam przeznaczył półtora miliona koron. Finansowy wydział kontrolny zatwierdził powyższą uchwałę 22. marca 1916 r.

Równocześnie powstał w Austrii cały szereg towarzystw, podejmujących realną pracę nad przygotowaniem owych „ognisk wojennych“, zasilanych tak poważnymi prywatnymi zapisami, jak też subwencjami państwowymi. Szereg miast austriacko-niemieckich zakłada na swych miejskich gruntach takie osady chociażby dla kilku, lub kilkunastu tylko rodzin inwalidów. Uważają to one z jednej strony za swój obywatelski

*) Kwestyę tę omawia gruntownie okazać się mająca książka autora.

obowiązek, z drugiej zaś strony, upatrują w tychże osadach odciążenie dla komplikujących się stosunków mieszkaniowych w miastach, wobec braku mieszkań będącego wynikiem wojny.

Na IV. austriackim kongresie mieszkaniowym odbytym 5. i 6. lutego 1916 r. we Wiedniu, uznano pod każdym względem nadzwyczajną ważność „ognisk wojennych” i postanowiono dążyć do systematycznego wprowadzania tychże idei w życie. W celu ujednolajnienia pracy rozlicznych, rozproszonych w kraju związków, postanowiono utworzyć główny, naczelny organ. Stosownie do uchwał kongresu założony został 30. kwietnia 1916 r. „Reichsverband für Kriegerheimstätten in Oesterreich”, któremu podporządkowało się odrazu 82 poszczególnych organizacji w Austrii.

Jako zadanie związku ustalono starać się i czuwać nad wydaniem odpowiednich ustaw państwowych, dotyczących realizacji „ognisk wojennych” oraz uregulować działalność poszczególnych krajowych organizacji. W 1917 roku łączył „Reichsverband” już ponad 100 organizacji, poza czeską filią, obejmującą w Czechach około 70 korporacji. W znacznej ilości krajów i miastach rozpoczęto prace celem przygotowania się do realizacji „ognisk wojennych”, mianowicie: w dolnej i górnej Austrii, Czechach, Morawach, Styrii, Karyntyi oraz w miastach Wiedniu, Linzu, Pradze i t.

Na mocy rozporządzenia cesarskiego zostało w dniu 1. czerwca 1917 r. utworzone „Ministerium für Volksgesundheit u. soziale Fürsorge”, do którego zakresu należyć miały też zadania łączące się z „Kriegerheimstätten”, czyli z „ogniskami wojennymi”. Jak widać z przedstawionego stanu rzeczy, idea zapewnienia przyszłości inwalidom i tworzenia dla nich „ognisk wojennych” rozrastała się potężnie, do poniekąd międzynarodowego znaczenia. Wszędzie widać tak obywatelskie, jak i państwowe organizacje, zajmujące się tym zadaniem najbliższej, powojennej przyszłości. Specjalnie działalność ta rokuje najbardziej konkretne wyniki.

Tak w Niemczech jednak, jak i w Austrii, nie miała być z tego żadna korzyść dla polskich inwalidów i ich rodzin. W Niemczech uniemożliwiono już z góry Polakom korzystanie z tworzonych „ognisk”, różnymi warunkami. Austria subwencjonując milionami różne krajowe i miejskie organizacje „ognisk wojennych”, — dla naszego kraju nie zrobiła nic w tym względzie.

Poza utworzeniem we wszystkich krajach „krajowych komisji opieki nad powracającymi z wojny żołnierzami”, (rozp. min. spraw wewn. z dnia 16. lutego 1915 r., L. 3501; po niem „Landeskommissionen zur Fürsorge für heimkehrende Krieger”) — forsował rząd tworzenie organizacji „ognisk wojennych” tam, gdzie ich jeszcze nie było (Styryja), przyrzekając z góry swą pomoc. U nas tymczasem, dla naszych polskich inwalidów o jakiejś racjonalniejszej pomocy rządu nie słyszano, ani nawet nie utworzono u nas wymienionych „Krajowych komisji opieki”.

Ten brak pomocy ze strony państwa, starał się u nas wyrównać cały szereg obywatelskich i dobroczynnych organizacji. Chętna ofiarność naszego społeczeństwa zasługuje na całkowite uznanie, jednak dotychczas nie starano się o zorganizowanie pomocy dla inwalidów w kierunku zapewnienia im dogodnych warunków mieszkaniowych i osiedlenia ich we własnych domach.

Czas już zatem najwyższy, by w opiece nad naszymi inwalidami, wdowami i sierotami po poległych, wyjść poza dotychczasowy szablon, odziedziczony po Austrii i zorganizować ją na szerokich racjonalnych podstawach. Zadania te, które wyłoniły konkretne potrze-

by bieżącej doby, muszą być rozwiązane w najbliższej przyszłości w imię dobra inwalidów oraz całego społeczeństwa.

Z francuskiej poezji wojennej.

Françoi Coppé: L'Étape.

ETAP.

Gwar rozmów u przypiecka, weselące trunki,
Miłostki i kasarnia już znikły z sezonu,
Tornister przypasany, u boku ładunki,
Rekruci, pułk siedzibę zmienia garnizonu.

Droga sucha i biała, widnokrąg się szerzy,
Jeśliś nogi umęczył, spocznij na murawie,
Odwróć wzrok od szynkowni, nie siądziesz na ławie
Pod gołym niebem mieszkać mają maruderzy.

Jam z nędzy pułku. Nim zakończy męki
Grób, mój postój ostatni, upadam z udreki,
Znużenia i pragnienia, głodu i gorąca.

Idę i bez nadziei, że przejdą cierpienia,
Jak żołnierz broń ciężką na ramieniu zmienia,
Tak li miejsce swe zmienia ma boleść dręcząca.

Tłóm. ZETER

sekc. poc. panc. „Śmiały”.

Kapitan JAN KOZICKI.

O granatach ręcznych i karabinowych.

Pomysł konstruowania granatów karabinowych jest omal że tak dawny jak i granatów ręcznych. Rzucanie granatów wolną ręką było bardzo często połączone z nieszczęśliwymi wypadkami we własnych szeregach. Celem uniknięcia tych nieszczęśliwych wypadków — a z drugiej strony znowu — celem powiększenia odległości skutecznego użycia granatów ręcznych zaczęto na początku XVII. wieku, próbować miotania tychże ze starożytnych broni dalekonośnych, jakimi były balisty i katapulty. Następnie zaczęto konstruować karabiny-granatniki, a w końcu i ręczne moździerz-granatniki, zdobiące obecnie zbiory muzeów, a wielkością mało co przewyższające te, jakich nasze gospodie używają do tłuczenia cynamonu.

Pierwsze próby strzelania granatami z broni ręcznej opisuje w r. 1718 saski pułkownik artylerji von Geissler w następujący sposób: „W r. 1668 wykonywał on w Berlinie w obecności elektora Fryderyka Wilhelma próby strzelania granatami ręcznymi ze zwykłych muszkiet (ordinäre Musketen) na odległość 200 kroków, tylko że przy strzale opierano kolbę o ziemię; ten sam eksperyment powtórzył on jeszcze raz przeszedłszy na służbę Francji w głównej kwaterze marszałka Turenne ku zadowoleniu tegoż”. Później strzelano granatami ręcznymi z krótkich rur, przymontowanych do desek. Tego samego sposobu praktykowano tak podczas rosyjsko-japońskiej, jakoteż i w pierwszych miesiącach obecnej wojny, gdy zaczęto improwizować rozmaitego rodzaju granatniki.

W czasach pokojowych wykonywano próby w Ameryce, w Stanach Zjednoczonych i w Norwegii przez inżyniera Aasena. Konstrukcja granatów karabinowych tak amerykańskich jak i Aasenowskich była taka: pocisk metalowy, zapal iglicowy z zabezpieczeniem; w

doła zaś do pocisku była przymocowana laseczka żelazna, którą się wtykało do lufy i która po wystrzale służyła jako stabilizator podczas lotu.

W Ameryce granat karabinowy Hale'a składał się z pocisku o długości 13'5 cm., 3'5 cm. poprzecznej średnicy, z zapalnika iglicowego, na którego koniec wkręcano detonator po naładowaniu na lufę.

Jako materiału wybuchowego używano 113 gr. tonitu albo dynamitu. Naokoło ładunku znajdował się pierścień stalowy o 24 segmentach. Największa doniosłość 270 m.

Najbardziej szczegółowo pracował na polu konstruowania granatów ręcznych i karabinowych inżynier Aasen. Skonstruował on kilka typów granatów ręcznych i karabinowych i był jednym z pierwszych konstruktorów nowoczesnych bomb lotniczych. Typy jego granatów ręcznych różnią się mniej między sobą ustrojem konstrukcyjnym i wyglądem jak wielkością ładunku. W poniższej tabeli zamieszczam dane odnoszące się do skonstruowanych przez niego granatów ręcznych i karabinowych:

Typ	ciężkość kg	ilość ka- wałków rozprys- kowych	zagro- żo- na po- wierz- chnia w m ²	donio- słość rzutu
I. granat ręczny	1	140	150	50
II. minowy granat ręczny	1'60	240	300	45
III. granat do walki wręcz	1	120	70	60
IV. granat karab.	0'60	56	30	380—400 metrów

Granaty karabinowe, będące w r. 1911 w Kiralyhida przedmiotem badań, były w ten sposób wykonane, że u dolnej części granatu był nasunięty na laseczkę stabilizatorską lejek z poruszaną ze sobą zespolonych blaszek, mający wygląd półotwartego parasola przewróconego do góry nogami. Po strzale podczas lotu pocisku, lejek ów natrafiając na opór powietrza, rozszerzał i zesuwał się na tylną część laseczki i cały granat karabinowy miał wygląd strzały wypuszczonej z luku.

Wszystkie próby wykazały tę niedogodność, że granat karabinowy spadłszy po strzale na ziemię wbija się w nią i dopiero wówczas eksploduje, co powoduje znaczne zmniejszenie jego średnicy działania. To było powodem, że tak w Ameryce jak i w Anglii zaczęto konstruować szrapnele karabinowe, t. j. granaty karabinowe z terminowym zapalaniem podczas lotu. 274 gr. ciężkie pociski rzucano na paręset metrów i te pękając w górze, zagrażały przestrzeń 30 m. objętości.

Równocześnie robiono próby w Anglii i osiągnięto następujące rezultaty: Przy nadaniu osi lufy pochyłości 35° strzelano granatami karabinowymi 1 kg. ciężkości na 180 m., 0'8 kg. ciężkości na odległość 220 m., a o 0'6 kg. ciężkości na 300 m. Według orzeczenia konwencji w Petersburgu z dnia 11. grudnia 1868, używanie granatów karabinowych poniżej 400 gr. wagi, sprzeciwia się prawu międzynarodowemu.

W Neudammie eksperymentowano granatami karabinowymi systemu von Burgsdorff i na odległościach 250 do 300 m. osiągnięto obraz rozstrzałowy o 10 m. szerokość i 50 m. długość. Przy strzelaniu granatami karabinowymi nadaje się kierunek odległościowy i boczny za pomocą ad hoc skonstruowanego celownika systemu Aasen, który przytwardza się do górnej części łożyska.

Inż. Aasen ulepszył jeszcze o tyle zapalnik u swo-

jego granatu karabinowego, że on dopiero może eksplodować na odległość 18 metrów po opuszczeniu lufy, tak, że transport, przechowanie na linii, manipulacja przy ładowaniu i wsiężas przy wysięrzał z karabinu są zupełnie bez najmniejszego wpływu na ładunek i na zapalnik. O próbach robionych na wielką skalę w Brucku-Kiralyhida w roku 1909, pisano we wszystkich wojskowych pismach europejskich; ciekawe reakcje znajdują się w Militärwochenblatt 1910, Armeebblatt 1910 i Kriegstechnische Schrift zeszyt 9 z 1910 r. Treść tych relacji jest następująca: „że sposobność użycia granatów ręcznych i karabinowych w waice polowej tak rzadko się nadarzy, że zbyt czynnem nawet jest, ażeby je za wojskiem wożono, i należy zupełnie zostawić wolną rękę improwizatorom. Prędzej zajdzie potrzeba użycia ich we wojnie fortecznej i w walkach pozycyjnych, chociaż i tutaj ze względu na rezultaty osiągnięte przy doświadczeniach przedsięwziętych w Brucku-Kiralyhida nie należy oczekiwać zbyt wielkiego skutku.

Granaty karabinowe mają zdaje się jedyną ujemną stronę, że wymagają staranności w przechowaniu i że u niektórych gatunków detonator jest zanadto wrażliwy na wilgoc. Z końcem listopada 1918 przyniesiono do szkoły Sienkiewicza dwie skrzynki austriackich granatów karabinowych, znalezionych w gmachu sejmowym. Gdy je rozdano między żołnierzy, pokazało się podczas jednej wyprawy, że ani jeden nie wybuchł.

Po roku 1910 nastąpił rozdział w wojskowej opinii publicznej. Jedni zadowolili się relacją Militärwochenblattu i innych pism i nie troszczyli się dalej ani o granat ręczny, ani o karabinowy, — liczba tych poglądów była ogromna. Drugi zaś stali na stanowisku, notabene z powodu ich mniejszości bardzo trudni, że jeżeli podczas walki obydwa walczące strony zbliżają się na taką odległość do siebie, że tak jedna jak i druga artyleria będzie musiała zaprzestać ognia, że może cała walka siać na martwy punkt. Mimo nader małej odległości nie można ze skutkiem użyć ognia karabinowego, gdyż jeżeli przeciwnik jest w dobrym ukryciu, w rowie strzeleckim, to mu ogień karabinowy nie tylko żadnych strat nie przysporzy, ale wręcz przeciwny osiągnie skutek: wpłynie bardzo dodatnio na humor. Więc ażeby w takim położeniu osiągnąć możliwość prowadzenia dalszej intensywnej walki z przeciwnikiem, znajdującym się za nasypami i w kryjówkach, ta mała garska nie tylko nie ustała w robieniu dalszych doświadczeń, ale nawet poszła o parę kroków dalej zaczęto lansować myśl, czyżby nie można z dział moździerzowych rzucać bomby za nasypy przeciwnika albo na jego zasieki druciane. I tak powstały minierki, wierne towarzysзки strzelców, znajdujących się w przodowej linii.

Szerszy ogół wojskowy zapoznał się z niemi dopiero podczas obecnej wojny. Gdy walki ruchowe na początku wojny obecnej przeszły w walki pozycyjne o takiej intensywności, jakiej nikt nie przypuszczał — dużo bowiem było oficerów, którzy już w czasach pokojowych inaczej sobie wojnę przedstawiali, jak to na manewrach w jesieni albo na „exercyplatu“ pokazywano — to jednak ta wojna przeszła i najśmielsze oczekiwania ich, szczególnie zaś co do walk pozycyjnych. Po nastaniu tych walk dał się nagle odczuć brak środka do walczenia z przeciwnikiem, znajdującym się wprawdzie na najbliższą odległość, ale będącym w ukryciu. Wówczas dopiero zabrano się na dobre do wszelkiego rodzaju improwizacji, i to tak co do samorzutnych konstrukcji bomb, jak i minierek. Komuż z szeregu ogółu nie są znane z ilustrowanych pism tygodniowych te najrozmaitszego gatunku i kalibru dziwolągi, których

na początku tej wojny jako domorosłych minierek używano? jak n. p. beczki, wydrążone pnie drzew itp.? Dopiero podczas wojny zaczęła się intynzywniejsza fabrykacja tak minierek jak i granatów ręcznych i karabinowych. W końcu nasuwa się mimowoli pytanie, czy wobec tak doskonałych minierek i karabinowych granatów ogółem taką broń jak ręczne granaty zatrzymać należy, a to choćby z tego powodu, że i przy najsolidniejszej konstrukcji własne wojska są zawsze również zagrożone? Na to jest jedna odpowiedź: tak. Wojna wymaga spotęgawania ofiarności każdej jednostki, i tak jak lotnik tak i każdy szturmowiec musi być zawsze przygotowany do jak najdalej idącej ofiarności. Nie można sobie bowiem ani szturmowego oddziału ani patroli wywiadowczej przedstawić bez granatów ręcznych ani też skutecznego zwalczania przeciwnika okrytego w rowach na najbliższą odległość.

Wskazaniem by tylko było:

a) ażeby oddziały szturmowe były traktowane jako wojska wyborowe, możnaby im nawet nazwę oddziału grenadyerów przywrócić, i nawet osobne odznaki nadać, wyższy żołd etc.;

b) promień skuteczności granatów ręcznych można by nieco obniżyć.

c) ażeby obecne dorywcze organizacje tych oddziałów przybrały podstawowe i solidniejsze formy.

d) w szturmówkach jak i w innych oddziałach grenadyerskich powinno być z tego tytułu, że są to oddziały wyborowe, ze spotęgowaną inżynieryjnością utrzymywane i strzelnictwo na możliwie wysokim poziomie. Granaty ręczne i karabinowe są dobrymi, a nawet i bardzo dobrymi narzędziami walki, ale najlepszą bronią i najpewniejszą był, jest i zawsze pozostanie: karabin.

Subskrybujcie 5% polską == pożyczkę państwową. ==

Organizacja polskiego lotnictwa.

Potrzeby armii polskiej, walczącej na kilku obecnie frontach, wywołały konieczność stworzenia silnej i sprawnej floty powietrznej. W tym celu odbyło się niedawno we Lwowie w namiestnictwie pod przewodnictwem gen. Rozwadowskiego zebranie, w czasie którego postanowiono po dyskusji utworzyć polski związek lotniczy. W konferencji tej wzięli udział przedstawiciele świata wojskowego, technicznego, naukowego itp.

Wedle powyższych na wspomnianej konferencji uchwał, „Polski Związek lotniczy“ ma zainteresować społeczeństwo sprawą lotnictwa. W program działalności Związku wchodzi: skupienie zwolenników polskiego lotnictwa w organizację, przyczynienia się do wyposażenia akcji lotniczej w potrzebne środki materialne, utworzenie w Sejmie komisji, któraby roztoczyła opiekę nad potrzebami polskiego lotnictwa, zapoczątkowanie krajowego przemysłu lotniczego, wglądnięcie w stan dzisiejszego lotnictwa i przyczynienie się do urzeczywistnienia jego postulatów.

W szczególności zamierza „Związek“ zakupić samoloty na eskadrę bojową, złożoną z 8 aparatów, (w tej liczbie 2 rezerwowe); pierwszą dwa lataw-

ce bojowe lwowskiej eskadry otrzymają nazwy: „Piłsudski“ i „Paderewski“.

Poza tem dokonano wyboru zarządu Związku. Do prezydium weszli: gen. Rozwadowski, hr. Lasocki i gen. Leśniewski; skarbnikiem został inż. K. Gąsiorowski, w skład Komitetu wchodzi dalej: brygadyer Maczyński, pułk. Sikorski, major Kudelski i lotnik kap. Bastyr.

Odezwa „Pol. Zw. lotniczego“.

Rodacy!

Pruskie aeroplany na służbie ukraińskiej bezkarnie bombardują ulice i kościoły Lwowa. Celem obrony wojskowość zatroszczyła się o to, aby sprowadzić potrzebną liczbę samolotów zdolnych do pościgu i boju. Jest obecnie rzeczą społeczeństwa, aby z tego zamierzenia wojskowego uczynić punkt swego programu.

Wszak chodzi nie o sam tylko Lwów. Od wschodnich rubieży na całą Polskę idzie dojmujący ból: ludność kresowa jutra niepewna, jej mienie obracane w popiół i gruzy. Czekają na odsiecz wschodnia Galicya, gdzie ludność nasza jest po barbarzyńsku traktowana i pod pozorem brania zakładników w jasyr pędzona. Czekają odsieczy Litwa, gdzie nawala bolszewicka wśród ludności bezbronnej sieje grozę zagłady. Wołają o pomoc Podlasie, Chełmszczyzna i wszystkie inne czy to zachodnie czy południowe wylewem niszczycielskich instynktów zagrożone kresy.

Posiejmyż miarkującą grozę wśród tych, co niosą nam zagładę. Twórzmy i wzmacniajmy polskie lotnictwo dla obrony kresów.

Jak pociągi pancerne na liniach kolejowych, tak latawce krążące w przestworzu będą strażowały granicę naszą.

Odwieczne szlaki, nad którymi one obejmą straż, świadczą, że na rozłogach ziemi naszej dni chwały gęściej rozsiewały mogiły obrońców granic, niż dni klęski. Bądźmyż dobrej myśli. Oto dziś — mimo że wschodzi nad nami wielkokreślne słońce wolności — Ojczyzna, która życie daje i życie bierze, stroi znowu domy polskie w barwę żałoby. Ta mroczna barwa szeroko rozpostarta, to znak, że idziemy ku dniom chwały. Bo jest między symbolem żałoby a symbolem nadziei drożyna tajemna a znana. Gdy troska o zagrożone dobro publiczne nastroja duszę na wysoki ton, żar tych serc, co przy obronie ojczyzny bić przestały, „przelewa się w serca, co biją i kończy zaczęłą drogę“. Z nieukojnych zda się smutków rodzi się wówczas wśród cierpień radość życia i jego odnowa.

Więc by ta chwila błogosławiona nadeszła, przez pamięć o tych, którzy szli w objęcia śmierci z myślą: „dla Ciebie Polsko“, w imię pokoleń, które przyjdą i pytać będą, cośmy zrobili i czego nie zrobili w wyrocznej dziejów godzinie, — skupmy się zzwarcie około polskiej racji stanu.

Ta racja stanu mówi, że nie masz dla Polski w danej chwili bardziej palącego zagadnienia nad problem granic. Układ wewnętrznych sił długo będzie podatnym do zmian, łatwym do wyrównania wszystkiego, co krzywdzi i dzieli. Granice stężeją niebawem na długie lata, może pokolenia. By nie stężały krzywdą naszą i nie skępowały żywotności narodowej ku temu ma służyć rząd, ku temu wojsko i skarb, ku temu mu wszyscy.

Polska racja stanu mówi, że od pierwszych

chwil odrodzenia państwa winniśmy całe życie publiczne oprzeć o powszechny obowiązek służby narodowej. Organizujemy zgodnym, zbiorowym porządkiem i graniczną straż wyposażoną w latawce bojowe. Organizujemy na miarę godną narodu a spieszymy zanim rozbrzysnie w pełnym blasku bojowa gotowość narodu. Oddadzą wówczas brawurowi lotnicy niepomierne usługi. Hordy niszczycielskie, chciwe bezbronnych żerowisk, nie pociągną tam, gdzie będą miały wojska polskie przed sobą a latawce polskie poza sobą.

Do czynu więc: Twórzmy i wzmacniamy polskie lotnictwo, aby się stało potężną obroną krajów.

* * *

Pieniądze na cele lotnictwa należy składać w Administracji dzienników.

Patronat nad lotnikiem polskim.

W szeregu patronatów nad żołnierzem polskim, powstał ostatnio w Warszawie za zezwoleniem władz patronat, opiekujący się specjalnie lotnikiem polskim, mający więc za zadanie, jak wszystkie patronaty, zbieranie ofiar w gotowiźnie i naturze, w postaci zwłaszcza białizny, żywności itp. Zarząd główny patronatu tworzą: pp. pułk. Wanda Łossowska, maj. Helena Syrokomska, maj. Romana Piżłowa, por. Janina Gawłowa, por. Wernicka, inż. Eug. Korzonowa, dr. Zofia Dobrzyńska, p. Zofia Tówniańska, p. Janina Sommerfeldowa, p. Helena Dobrzyńska, p. Marja Orłowska i p. Helena Antoniewiczowa.

ST. ROSSOWSKI.

Czerwony punkt.

Nie wiadomo, co straszniejsze: czy szrapnele i granaty, owe olbrzymie szerszenie, tysiącami żadeł siejące śmierć odrazu w całych szeregach, czy też roje furczących przeciągle kul karabinowych, co jak osy rozbrzykane, opadała cię zewszad.

Jedna z nich zaraz w początku bitwy dosięgła młodego żołnierza, gdy oddziałowi kazano wyruszyć z okopów i posunąć się naprzód. Był to szczupły, ale rośli chłopak, z bujną, ciemną czupryną, rumieńcami na twarzy i ogniem w oczach. Biegł zuchowato, jak do tańca, gdy kula przeszła mu klatkę piersiową. Postąpił jeszcze kilka kroków, potem odrzucił karabin, chwycił się obiema rękami za piersi, szeroko rozwarł usta, usiłując pochwycić oddech, i nagle, jakby go kto podciął kosa, zwał się wstecz na ziemię.

Pod wpływem gwałtownego wstrząsu, mózg rannego w jednej chwili przestał funkcjonować. Najdrobniejszy nawet przeblask myśli nie rozjaśniał ciemności, jakie go ogarnęły. Ale jeszcze nie na zawsze wtargnęły one pod kopułę czaszki. Po chwili aparat życiowy drgnął na nowo — drgnął chwiejnym ruchem wahadła zatrzymanego raptownie, a potem pchniętego znowu.

To, co stało się już niczem, było napowrót czemś — i to czemś żywym, zindywidualizowanym, iakolwiek czemś zgoła innym, niż przedtem. Ranny doznawał dziwnych uczuć. Wszędzie dotychczas czynne zmusły zawiesiły swą pracę. W ich miejsce wstąpił zmusł nowy, przyoblekający szafą zmysłowych wyobrażeń zgoła niezmysłowe już sensacje.

Czasami śni się nam, że śnimy. Takim snem w śnie były obecne myśli, uczucia i spostrzeżenia rannego. Czuł, że istnieje, ale poza sobą. Uciekł z siebie; drobną przetoką w piersi precisnął się wśród bólu poza obręb materialnej swej istoty. Ta przestała go nawet zajmować; był to już tylko ohydny wojłok, porzucony gdzieś daleko, w kurzu, czy w błocie, powalany krwią, która rytmicznie wytryskała z rany, niewiększej prawie od punktu.

Kiedy ranny rozejrzał się dokoła, nie było jeszcze nic, krom — niczego. Zdało mu się wszakże, iż owo nic okraża w szalonym rozpędzie jakiś punkt idealny i zwolna zgęszcza się tam, jak materia kosmiczna w dobie powstawania światów. Ruch zagadkowy niepokoił go, przykuwał do siebie, ból sprawiał rannemu. To on, ranny, w niepojęty sposób dostarczał z głębi swej istoty materiału niewidzianej, wirującej substancji; to z niego snuła się ona, gdyby przedza nieskończenie delikatna i nawijała się automatycznie na oś niewidzialną, jak nić na szpulkę.

Doznał niejakej ulgi, spostrzegłszy, że wreszcie w samem ognisku wirów nieważkiej materii gęstnienie czyni postępy. Zarysował się zrazu jakby ślad punktu, potem już punkt całkiem wyraźny, aż punkt ów ostatecznie rozszerzył się, zawy puklił, poczerwieniał i niby bryłka krwi skrzepłej, zawisł w próżni. A gdy to się już stało, przestrzeń cała — rzekłbyś: wyczerpana pracą, czy też może zadowolona osiągnięciem celu, popadła w stan nieruchomego spoczynku. Natomiast punkt, dotąd tak spokojny, począł się niepokoić. Drgał, jakby koniecznie chciał zmienić położenie; w istocie też, po jakimś czasie nabrawszy rozmachu, wyrwał się, przełatywał to w tę, to ową stronę, a kędy przeleciał, pozostawiała po nim, niby ślad spadającej gwiazdy, czerwona smuga.

Ruch szalonego punktu odbywał się naprzód po linii prostej, potem zygzakami; zrazu zwolna, później coraz szybciej — a ciągle zmierzał ku rannemu, drażniąc go, wyzywając do pochwycenia. Ilekroć jednak ranny porwał się, punkt uchodził spiesznie, by za chwilę na nowo wyprawiać te same, co poprzednio, figle.

— Chcesz? Ja ci go podam! zabrzmiał nagle z poza pleców rannego głos dziwnie miękki i — niewiadomo, skąd — zjawiła się ręka czyjaś, sama tylko ręka, zwiedła, podobna do opadłego listka. Punkt zachwiał się, próbował jeszcze kilkakrotnie to w tę to w ową pomknąć stronę, wreszcie stanął i z całym impetem runął na dłoń rozpostartą.

Teraz dopiero można było przekonać się, że jest znacznie większy, niżli wydawało się, gdy wisał w przestrzeni i bujał po nim. Dochodził rozmiarów poziomki, miał nawet jej kształt. Z tej zaś jednej jagódki, błyskawicznie wylaniały się coraz nowe i w okamgnieniu czerwieniały ich setki i tysiące. Rozbiegły się na wszystkie strony; każda wyszukała sobie schowek pod listkiem, jagódki łączyły się w gronka, liście w krzaczki, — kryjąc się tu pod gałęzie tarniny, ówdzie w zagłębienia butwiejących pniaków, tam znowu pomiędzy wysokie sztywne trawy i okwiecone zielska.

Słońce przypiekało skwarem czerwcowym. W powietrzu była jasność, wonność i cisza. Upał znużył motyle. Krzepiły się nektarem kwiatów, ospale fruując od kielicha do kielicha. Tu żalona perłówka, ówdzie nadobna rusalka lub strojny paź królowej, gdzieindziej obżartuch głogowiec, nieuleczalna żółtażka dotknięty cytrynek i tyle innych. Od czasu do czasu ten i ów z przerażeniem wzbijał się do lotu; z pewnością usłyszał brzęczenie groźnej swej nieprzyjaciółki osy lub spłoszyła go pszczoła, a choćby tylko bąk niezgrabiasz

nieznośny z tem ciąglem próbowaniem swego głębokiego basu.

Tu lepsi byli od niego śpiewacy. Skacząc, jak najęte, szebiotały raz po raz sikorki; rozpoczynała wilga arjetkę, której końca zapomniawszy przy odlocie z raju, dotąd sobie przypominieć nie może. Cwierkał gdzieś czyżyk na przemiany ze szczygłem; dopowiadał im mysikrólik cieniutkim falsetem, kwiliła pliszka niepoprawna w swem mazgalstwie.

W górze, ponad tym skwarzącym się w upale zrębem, niby cichym, a przecie gwarnym, zieleniała gęstwina szpikowego boru. Falą po fali kadzidlana wonność żywiczna staczała się od niego ku dołowi, gdzie — poniżej zrębu — wpadłszy w wąwóz, korytem drogi leśnej płynęła ku chatom wsi niedalekiej, nakrytym słomianymi czapicami, ku topolowej na prawo od nich alei, co stąd, z góry, wydawało się zielonym jakimś mostkiem pomiędzy wsią a białym w okoleniu gospodarczych zabudowań dworem.

Na ten łagodny, promieniejący czarem, a dobrze znany mu pejzaż, nie zwracał uwagi mały chłopczyzna wśród poziomkowych kępek. Choć słońce tak dopiekało, zdjął z główki słomkowy kapelusz, aby go użyć za króbeczkę. Jasne loki rozsypały się po czołwie i szyji, a dziecięce łakomstwo rozjaśniało niebieskie oczy.

Ach, te poziomki! Chciałby je wybierać wszustkie, co do jednej, a tymczasem, choć kapelusz prawie już pełny, coraz więcej ich i coraz dorodniejsze.

W tem przystanął.

— Hop! hop! ozwało się niedaleko wołanie.

Głos był słaby, drżał niepokojem, męszał się prawie ze szlochaniem.

Mama! coś nakształt wyrzutu sumienia szarpnęło chłopaka za serduszek.

Hop! hop! odkrzyknął piskliwie, jak pliszka.

Z za krzaków wysunęła się szybkim ruchem postać kobieca. młoda jeszcze, w błękitnej muszlinowej sukience, szeleszczącej świeżością. W różowej twarzy snuł się lęk resztkami swych cieniów, ale już radość ją rozpraszała, przez łzy się uśmiechając.

Więc jesteś, jesteś! wołała, bez tchu biegnąc ku dzieciakowi, jakby bała się, że jej znów umknie. Jak można było tyle napędzić nam strachu! Tak samemu chyłkiem, mały brzydalu!... Całą służbę rozestałam na poszukiwania...

— A przecież znalazłaś mnie sama, ty, złota moja! uspokajał ją mały zbieg przypodchlebiając się. I cóżem ja winien?... Biegłem naprzód za jakąś cudną muszką z czerwonymi skrzydełkami, potem za motylkiem, takim czerwonym, czerwonym, a potem znalazłem te poziomki, takie czerwone, czerwone...

I zapominając, że trzyma kapelusz z całym płochem swych trudów, wyciągnął rączkę ku matce, by ją uściśnąć za szyję.

Stała się wtedy rzecz nieunikniona: kapelusz wypadł, z kapelusza zaś wysypały się poziomki. Spadły na zielony trawnik, tocząc się coraz dalej i dalej... A kiedy tak toczyły się, każda rozsnuwała z siebie czerwone pasmo coraz szersze i szersze. I wkrótce wszustko pokryły te czerwone pasma i nie było widać poza ich czerwoną strugą: nieba ni ziemi, wsi ni dworu, matki ni pacholęcia.

Co gdy się stało, czerwony beżmiar poczęł kurczyć się, opasały go i ścisnęły linie konturów, z poza konturów zaś wyrzwała wzrastająca z każdą chwilą pusta przestrzeń. Z bezpostaciowej masy utworzyła się wielka kula, malejąc szybko do rozmiarów balonu, piłki, orzecha, ziarna grochu — aż ostatecznie zawisła znowu czerwonym punktem w przestworzu.

Więc ranny zdziwił się niepomniernie i gdy rozmyślał, co znaczyć ma to wszustko, uczył dziwnie przejmujący ból koło serca, jak od pchnięcia sztyletu i dusza w nim rozpląkała się, ni to po utracie czegoś, co nigdy już nie wróci. Prawie z rozpaczą patrzył w czerwoną zagadkę punktu, przemysliwając, jakby go raz jeszcze dosięgnąć...

W tem...

— Chcesz! Ja to uczynię! przemówi znowu głos jakiś poza nim, wcale jednak niepodobny do poprzedniego. W tamtym była miękkość znużenia, ten dźwięczy rytmem wiosennej żywości, melodyą wiosennych upojen. Wciągnięta po punkt ręka tęczyje jak masa perłowa ciepłym tonem skóry, delikatną siecią sinych żyłek. A punkt — jak przed chwilą — odrywa się, spada. Oto spoczął już na rozpostartej dłoni — martwa, nieforemna grudka.

Niebawem jednak powierzchnia jego układa się w fałdy, coraz głębsze, coraz misterniej pokrecone i — oto przepyszna róża, przy niej zaś druga, trzecia, cały krzak bordowych „Gloires de jeunesse“.

A dokoła krzewu różanego wyrasta jak z pośł ziemi ogród — taki zaściankowy ogród z grzędami i rabatami, których pstrokaczna olśniewa oczy bogactwem kwiecica. Aż dusząco wonieją grupy lewkonij, heliotropu, goździków, petunii.

Wczesny brzask poranku majowego siną okrył się tuniką. Niepewnym krokiem stępuje z gór na krągach, wsłuchany w misterną kanconę, którą gdzieś wśród wikliny nadrzecznej dośpiewują słowiki — minstrele. A wszedłszy do ogródka zrzuci tunikę i oto macie królewicza z bajki.

Bez monarszych wprowadzie odznak... Po co?... Dość popatrzeć mu w oczy, skąd wyziera taka moc kochania, że poza bajką jej nie najdzie... A złote kędziory dokoła skroni układają się królewiczowi jak korona, a cała postać piękna, wdzięczna a bujna...

Podszedł do krzewu, ręką sięgnął do róży, gorączkowo zrywa jedną po drugiej... ma ich już całą naręcz, aż piersi i połowę twarzy przysłonił sobie niemi...

Wtedy cichutko po żwirze ścieżek kieruje się ku domowi. Staje u okna w narożu... Tam za muszlinami firanek — śpiąca królowna. Chwila wahania — potem lekkie pukanie w szybę... Pruska moc złego czarodzieja; budzi się śpiąca królowna, otwiera się okno.

— To ty?

— Nie mogę odeiść, choć pożegnał się wczoraj. Wśród róż chcę ciebie pozostawić. Wśród róż płonących, jak serce moje.

I podaje pęk kwiatów a z poza nich dwoje ciepłych ramion rzuca się na szyję i przygarnia królewicza ku sobie... Lecz pomiędzy obojgiem, róże wznoszą koleczastą przegrodę... Cień po ciemiu wbija królewiczowi w serce, a jednak błogosławione to, prześłodkie cierpienia! Róże zaś, jakby pełniałe krwią serca dwojga, rosną, olbrzymieją, zasłaniają czerwonymi płatami dom, ogród, niebo, ziemię, wszustek przestwór.

I poraz wtóry pochłaniająca wszustko czerwoność zalewa beżmiary, aby po chwili ścigać się, jak balon po odchyleniu wentyla, ubywać, maleć i ostatecznie wrócić do kształtu czerwonego punktu wysoko nad głowami zawieszzonego w górze.

Więc ranny zdziwił się niepomniernie i gdy rozmyślał, co znaczyć ma to wszustko, uczył dziwnie przejmujący ból koło serca, jak od pchnięcia sztyletu i dusza w nim rozpląkała się, ni to po utracie czegoś, co nigdy już nie wróci.

Prawie z rozpaczą patrzył na zagadkę czerwonego punktu, przemysliwując, jakby go jeszcze ściągnąć.

Wtem...

Chcesz? Niechże stanie się wedle twój woli! usłyszał poraż trzeci kogoś poza sobą.

Wszakże było obecnie w głosie tajemniczym coś surowego, jak szczęk stali bojowej. Zadrżał ranny... Nie czekając na jego odpowiedź, wyciągnęła się ręka potężna, do pieszcząt snąc, do igraszek nie nawykła, żyłasta ręka, o silnych ścięgnach — i śmiałym ruchem odrazu pochwyciła ruchliwą, nerwową bryłkę...

Tym razem ranny instynktownie odczuł, co przedtem nawet mu na myśl nie przyszło, że jakaś przełożona siła wdziera się w jego prawa.

Nie dam, nie dam! zawołał... i obaczył dwie postacie: kobiecę po bokach; matkę małego pacholęcia i zaklętą królową. Obie ze łzami na kłęczkach wylły się przed nim, szlochając.

Nie daj! To twoje, a co twoje to nasze!

A głos nieubłagany szorstko ozwał się znowu:

Musisz, więc dasz... Więcej nawet.. Nie dlatego, że musisz owszem dasz sam nieprzymuszony, dasz z dobrej woli... Patrz jeno!

Czerwona bryłka sycząc, żarzy się, jak żelazo w ogniu. Snopy czerwonych płomieni wytryskają z niej na okół. Symetrycznymi pękami przecinają horyzont, krwawe, niby zorza północna. Na wolnych pomiędzy niemi polach zapalają się gwiazdy ogromne, czerwone, jak tarcza zachodzącego słońca, a na każdej opiera stopy anioł w purpurze z mieczem ognistym w jednej, a olbrzymią palającą trąbą w drugiej ręce.

Stoją tak w półkolu, środek zaś półkola zajmuje tron, a na tronie spoczywa korona, większa i wspanialsza nad wszystkie korony świata. Nieprzebrane mnóstwo klejnotów tkwi w oprawie złotego obręcza. Iskrzą się diamenty wielkości jaj strusich, promieniają zaklętym blaskiem niebieskie szafiru, zielone szmaragdów, żółte jak bursztyn topazy. Tylko na samym czole jedno puste zagłębienie widnieje przerażająco na kształt oczodołu czaszki trupiej.

Ranny widzi, jak z poza tronu wynurza się jeszcze jeden anioł: wspanialszego wzrostu, z mieczem większym i świetniejszą na ramionach purpurą, niżli tamci.

A któżby to mógł być inny, jeśli nie sam archanioł Gabryel? On-ci jest zaprawdę; on też dał znak i nagle wszyscy aniołowie do ust podnoszą trąby. Od głosu trąb drżą posady świata, od błysku zaś ich mieczy przestwór wypełnia się pożogą. Wśród pożogi, za każdym miecza cięciem wytryskują krwawe źródlika, by spłynąć razem do jednego zbiornika u stóp tronu, gdzie kłębią się i kipią wśród gwałtownego łoskotu, jak lawa stłoczona w kotle krateru.

A poprzez huk i łomot i zgrzyt i szczęk słysząc ciągle nawzajem przepowiadanie sobie aniołów.

— Jeszcze za mało, za mało, za mało....

Strach ogarnia rannego.

— Co? Co? Co, co?

Słyszysz odpowiedź.

— To krew tysięcy i tysięcy. — W ogniu bojów wyskwarzona wyłoni z siebie rubin przecudny, aby wypełnić się puste miejsce w koronie Przedwiecznego. Ale słyszałeś: tyle jej utoczono, a przecież jeszcze nie dostaje.

I ręka podsuwa się, a na ręce bryłka drobna, czerwona, dalej wre i syczy.

A głos mówiący przekłada:

— Słyszysz? To tak kipi z niej tęsknota ku złaczeniu się z beždennem krwi zlewiskiem. Jej tylko brakuje, by dopełniona była miara.

Rannego na nowo dolata rozdierające szlochanie matki, zawođenje ukochanej, Coś go za gardło ścisła, łożem smutek przygniata mu serce.

— Czyliż koniecznie? pyta nieśmiało.

Przedarło się przez wszystkie one dziwy echo życia i szemrze zbladłymi rannego uszy:

— Jam tak młody... Tak mało poznałem życia.. Ono mi się przecie należy, a jeśli nie mnie, to mej matce, mej cud-królownie...

Słowa więzną mu w krtani, łoży cisną się do oczu. Gdy jednak te oczy zwróci na koronę, na pustkowiu jej oczodołu, dusza wzdraga się w rannym. I tak walczą w nim dwa bole — jeden własny i jeden wspólny — z tymi aniołami strasznymi, z tem zmaganiem się ogni, z tą tęsknotą morza krwi, by rubin wyłowić z siebie jakiego nie widziały niczyje oczy.

— Odmawiasz więc tych kilku kropel krwi, ku którym wzdyma się pożądliwie tysięcy i tysięcy ofiara?

Zdławionym, cichym głosem odpowiada wreszcie ranny:

— Weźmijcie!

A wtedy trąby anielskie znów uderzają, lecz już nie tonem grozy, jeno pieniem tryumfu i radości, a miecze płomienne błędną, zmieniając się w promienie świty poranku, a z oceanu krwi rodzi się olbrzymi rubin i jak słońce nowej doby przyozdabia koronę Bożą niezrównanym blaskiem...

STARA SZABLA.

Nieznany wiersz Teofila Lenartowicza¹⁾

Na włoskim rynku szablę znaną,
Którą tu dzieci miejskie podrzucały,
Jak podrzucają Piastowska korona
Tej magnateryi resztki dziś zuchwałej,
Tobie przynoszę byś zabrał ten szczątek
Do swej skarbnicy wspomnień i pamiątek.

Z szablą tą może w Hesperyjskiej stronie
Umierał Polak w te zabiegły kraje,
Może ostatnią ścisnął ją przy zgonie
W chwili gdy ducha Bogu pierś oddaje,
Może w nią patrzył i zgorzałą wargą
O Polsce szeptał swojej dulcis argo.

Rękojeść czarnym obwiąta jaszczurem
Może przyciskał z połamaną gardą,
I pochwę starym pościaganą sznurem,
I w niebo patrzył po rycersku hardo...
I konający w ciemną zgonu chwilę
Wymawiał wolność to verbum nobile.

„Pro patria mori“ a uśmiech spokoju
Wiecznego słońca pięknością go zdołił,
Jako w szlachetnym za ojczyznę boju
Na roli bożej dzionek swój odrobił,
I wraca z pola z złotą życia kartą
Z szablą strzaskaną ale nie wydartą.

Może to jaki konfederat stary
Na manifestie podpisany w Barze,

¹⁾ Wśród rękopisów Mieczysława Dąbrowskiego, uczestnika powstania 1830/1 r. i powszechnie znanego we Lwowie patryoty, odszukałem niniejszy, drukiem nieogłoszony wiersz niezapomnianego twórcy „Bitwy Racławickiej“ z następującym napisem: „Teofil Lenartowicz ofiarując szablę starą Maryanowi, Mieczysławowi Dąbrowskiemu w dniu imienin Jego 25. marca 1879“. Wydajemy tu, w „Placówce“, poraz pierwszy ten nieznany wiersz Lenartowicza.
Henryk Biegeleisen.

Który pod znakiem Chrystusowej wiary
Z Najświętszą Panną na złotym sztandarze,
Stawał do boju kręcąc szablą młynki,
I nie pieśń świecą piejąc a godzinki.

Może ta szabla była jeszcze cała,
Lecz, gdy nań przyszły widma dni obecnych,
Zwątpienie w Polskę, ilość czynów niecných,
Pękło żelazo i w wiatr poleciało,
Jako stół pęka na znak przepowiedni
Tak się trzaskały polskie szable w te dni.

Tobie ją składam szlachetny rycerzu
Coś bronił matki niepodległą szpada,
Którąś zastąpił amen w swym pacierzu
Służąc ojczyźnie i ręką i radą.

Tobie coś sztandar jej podźwignął z prochów
Nie przegryziony ostrym czasu zębem,
Sztandar z napisem Olszynka i Grochów
I z wieńcem liści zerwanych pod dębem,
I gwiazdkę na nim i orła pomieścił
By ta świeciła i by ów szeleścił.

Tobie ją składam coś z polskim narodem
Z jego najczystsza i najświętsza treścią,
Nie włócząc wzroków za wschodem, zachodem,
Jedną nadzieją, jedną żył boleścią,
I dłoń połączył z ludową żyłastą,
Z taką co z młotem idzie jedna na sto.

Coś wśród ubogich narodu warsztatów
I u nędzarzy chacianych tapczanów
Dopatrzył ślicznych narodowych kwiatów
Wolności Ducha i równości stanów,
I widział twarze te czarne od dymów
Z dziecięcą duszą i z dumą olbrzymów.

I nad nie ogniem twojej piersi wrzającej
Wywołał widmo tej nie konającej
Wiecznej nadziei odradzanej w czynach,
We krwi poległych i szubienic skrzypie,
W lochach podziemnych w Syberyjskich minach
I ach, o grozo, i w pijanej stypie
Tych, co dziś krwawo wzgórza cierpien gładzą,
Puchar podnosząc silni wrogów władzą.

Nadzieja twoja naśmiewa się z burzy,
Nie śmiechem synów nocy i szatana,
Ale uśmiechem dziecięcia i róży,
I pierwszych świtów majowego rana,
Potężna prawem wolności anielskim
Nie przeszkadzona nie zachwiana niczem,
Naprzód z narodem twoim rzemieślniczym
I z twym narodem posuwa się sielskim
Pod ręką Boga spokojna jak dziecko,
Które i nie wie, że płaz podły gniece,
Nad węzów głowy i gniazda jaszczurek
Pieśni wolności ciągnie pereł sznurek

Weź że tę szablę rycerzu mej nufy
A powiedz, że to nie Prometej drugi,
Ale duch z ludem jednym bolem skutu
Którego łańcuch wciąż nim trzęsie długi,
Szablę tę starą w ręce złożył twoje
Wracającego między święte tłumy,
I nad dymiące zgniłych wód zastoje
Z których podnoszą się odstępów dżumy,
Żebyś nią krzyża znak zamachnął w gromach.

I rozniósł błyski po ubogich domach,
I abyś braci zawieścił roboczej.
Że tu są wiecznie w nią wpatrzone oczy.

A pismo moje złóż w tej złotej księdze
Co wieść o tobie do następnych poda,
Gdy ja płynący wciąż pod czasu nędzę,
Jak z pięciu źródeł Dunajcowych woda,
Która z pod piasku w Karpatach wytryska
Tem tylko barwna, co na niej połyska,
Popłynę dalej unosząc na sobie
Na przenajczystszej myśli mojej fali,
Ciebie rycerzu i podobnych tobie
Z których pamięcią duch mój się pochwali
Żem widział leć przez łzawe przestrzenie
Rycerzy Polski i żem niósł ich cienie.

Florencya 24. marca 1879.

Polska kultura żołnierska.

Jeżeli formy spółzycia i spółdziałania jednostek, związanych w społeczeństwo zwiemy cywilizacją, co właściwie dosłownie znaczy „uobywatelenie“ a całokształt zjawisk życia moralnego i umysłowego danej zbiorowości „kultura“, coby można było spolszczyć „wytrobieciem“, jasnem jest, że wojsko, jako jedna z funkcji społeczeństwa w walce o byt jest zjawiskiem cywilizacji a organizacją jego jest miarą ucywilizowania danego narodu, ale równocześnie wojsko, jako funkcja społeczeństwa a zarazem i integralna część jego, ma zawsze swoją kulturę, swoje wytrobiecie umysłowe i moralne, o tyle swoiste, o ile odrębnem jest zadanie wojska od innych zadań obywatelskich. G. Tarde rzekł, że „organizacja ekonomiczna, rząd, administracja są tylko środkami istnienia ludów; jest to ich narzędzie, że tak rzeknę; lecz nie w tem jest ich racja bytu; ta leży w ich życiu umysłowym i moralnem. One nadają patriotyzmowi podstawy pozytywne“. Różnice kulturalne, które wytworzyły się przez działania różnych a różnorodnych czynników przyrodniczych, są racją odrębności narodowych i kultura żołnierska musi być różna w różnych armiach, a stanowi ta odrębność kultury właściwy kościec podtrzymujący jej budowę.

Ale jak wyżej nadmieniliśmy wewnętrzną strukturę, całokształt zjawisk moralnych i umysłowych w armii, profil wewnętrzny żołnierza różnić się może od kultury ogólnonarodowej i nie jest to zupełnie zjawiskiem niezdrowym. Odrębna droga, choć przy równym celu sprowadza to zróżnicowanie. Polska kultura żołnierska musi być zupełnie, ale to zupełnie odmienna od kultury u innych zbiorowości zbrojnych tak, jak odrębną jest psychika polska od innych konstrukcji duchowych. Co więcej, powiedzieć wypada, że drogi kultury wojska polskiego mogą być inne od dróg, po których posuwa się zbiorowość niebrojna, obywatelstwo tak zwane, boć niezwykle był w Polsce los żołnierza, tak odrębny od kolei innego zjadacza chleba.

Polska w dobie najświetniejszego rozwoju i największych wysiłków nie zdobyła się w zakresie wojskowości na najświetniejszy wysiłek. Chromała w tym przejawie cywilizacyjnym, który nazywa się siłą zbrojną, organizacją armii. Nie było organizowaniem armii ani przewaga kresowców, ani osławio-

ne pospolite ruszenie. Najwspanialsze dzieła oręża polskiego były jedyną zasługą jednostek a nie wytworem pracy wspólnej. Tworzenie armii wypadło na okres naszego drugiego renesansu, na wiek 18. Wiew odrodzenia, który rzucił się Komisyi Edukacyjnej i Sejmu Wielkiego wydzwignął z ziemi polskiej armię polską. Nie będziemy tu rozwodzić się, czy Kościuszko był większym wodzem od Żółkiewskiego, ale każdemu jasną jest różnica między armią z pod Cecory a z pod Maciejowic. Gdy Polska zstąpiła w podziemia na 120-letni letarg, gdy wszystko, co żyło w Polsce nolens volens poczęło naginać się do norm życia dyаметralnie różnego, wrogiego, zabójczego — najeźdźców, — żołnierz polski — tułacz bezdomny poszedł w świat i stworzył Polskę iluzoryczną, ale nie najeżdżącą. Do r. 1863 można rzec, że stałe wojsko polskie istniało, chwilowym tylko rozprószeniem ulegając. Jedyną luką byłby okres aż do r. 1905, gdy na bruku Warszawy znowu rozległ się huk broni polskiej, kierowanej w piersi najeźdźców, lecz i ta luka nie przerwała konstruowania polskiej duszy żołnierskiej. Przez wiek tułaczki żołnierz ulegał wpływowi obcym, bo wśród obcych i dla obcych walczył, dla Francuzów, Węgrów, Portugalczyków, ale wpływy te obce inne były niż w kraju. Były potrzebne, by z tradycyi polskiej historycznej zeszkrobać wszystko, co było przeżytkiem, co było zaściankowem, co tylko siłą bezwładności tułało się po szlakach życia polskiego, ale nie sparaliżowało popędu do budowy własnego gmachu narodowego. Szczęściem żołnierz polski bił się w epoce najwyższego rozwoju zasady narodowości, w dobie, która mimowolnie zapoczątkował sam, zmuszony do walki z Hiszpanami, którzy zapalili żagiew wojny narodowej. A świeciła żołnierzowi polskiemu pochodnia romantyzmu, która go wskrzesiła z szeregów śpiących, gdyśmy raz zupełnie broń odrzucili. Romantyzm, który niósł kult rycerstwa i mistycyzmu, był reakcją poniekąd średniowieczną na matematyczny i niwelujący, mechanicznie równający prąd oświecenia i Wielkiej rewolucyi, stał się naszą dobrą nowiną.

W istocie rzeczy żołnierz daleki był od społeczeństwa, najdalszy może w ostatecznym wysiłku, najowocniejszym, gdy po zawodach rewolucyi 1905 roku w podziemiach sprawiał szyki do wyzwoleńczej kampanii, poczętej 6. sierpnia 1914 r. Żołnierz polski i tzw. obywatel polski odrębni byli. Na szczęście jeszcze bardziej różni, zgoła sobie obcy byli: cywilny Polak i Polak-żołnierz zaborczy. Nie zamalgowaliśmy się tak, by kultura wojskowa zaborcza mogła być czemś trwałem, coby nie spadło z duszy z chwilą odśluzenia lat musowych (Lubo nie przeczamy zgubnych wpływów, jakie wywarła wojskowość zaborcza na właściąństwie zaboru austriackiego). Wynikiem tych stosunków jest, że dziś, gdy zlewają się różne formacje iredenty polskiej z resztkami obcych wojsk i zasilają się dopływem materiału, który nie nosił jeszcze karabinu, jedno oblicze przybrać może armia polska, oblicze żołnierza polskiego. Jedna jest odrębna, swoista a cenna polska kultura żołnierska. Przypatrzenie się jej nie jest rzeczą tylko ciekawości badacza. Napawa nas wszystkich przeświadczenie i nadzieja, że moc, czyli cel armii, wypływa z jej cech moralnych i intelektualnych. Co więcej, w piersi żołnierza może rośnie siejba jutra, wolnego od naleciałości zaborczych, lub brzemienia wczorajszego dnia.

Żyjemy w epoce, w której wytwarza się i urasta

nowa fizyognomia kultury, która obejmie szersze kręgi świata niż dotychczas, wnuknie bardziej w głąb człowieka i stworzy inne normy spólzycia zbiorowisk ludzkich. Nie jest to atoli dzieło krótkiego czasu, żebyśmy dokładnie mogli sobie zdać sprawę z jakości i wielkości przewrotu, jak również przesadnem byłoby stwierdzanie, że jeden czynnik odegra tu decydującą rolę. W tworzeniu nowej kultury, w urabianiu oblicza nowej Polski niepodległej, które musi być inne od struktury duchowej Polski rozebranej a nie może być to samo, co w dawnej Polsce, nie przeceniamy roli żołnierza, ale chcemy ujrzyć dokładniej tę cegielkę, którą do gmachu przyszłości dorzuci żołnierz (przypatrzymy się jak bez względu na wartość konstrukcyjną wygląda polski żołnierz). Cóż łatwiejszego pisać o żołnierzu polskim, jak śladem wszystkich fejetonistów o jego bohaterstwie, z myślą poświęcenia, jako najszczytniejszem pojmowaniu koleżeństwa, o karności i porządku na małym. Mniej mamy zamiar rozwodzić się nad temi kat'exochen żołnierskimi cechami wojskowości, z których brakiem niknie wojsko. Więc nie będziemy rozwodzili peanów nad bohaterstwem wojsk polskich. Nasz żołnierz tego nie lubi. Zwłaszcza, że w miarę rozwoju wypadków wyrabia się typ bohatera jako człowieka umiającego spełnić swój obowiązek za każdą cenę. Dawne ochotnicze formacje więcej obfitowały, w typy nieboja i poszukiwacza zawieruchy. Don Kichot umiera na korzyść Samuraja. O bohaterstwie nie piszemy tedy jak i o ofiarności — są to rzeczy rozumiejące się same przez się. Więcej już można rzec o karności. Karność i wojsko są dla każdego laika synonimem. Tylko, że wielu ludzi nie rozumie istoty karności. Polska karność różni się tem zasadniczo od ducha karności zaborczej, że nie tłumi i nie depce jednostki, tylko rzeźbi dla niej koryto najwyższej użyteczności. Nie przesuwia hierarchii celów i środków, przeto przepisy będące drogą do celów, wyższych nie stają się absolutnem. Przełożony polski nie jest sługą najeźdźcy, nie stoi pod czarem regulaminu osnutego w glori „zopfa“, nie boi się tedy rozrostu indywidualności. A więc niech nie dziwi się cywilny pan, widząc niższego, doradzającego coś wyższemu, lub widząc wyrzucanie przeżytków paradowych. (choć dużo jeszcze żyje, np. tzw. stawianie wart itp.). Specyjalną rolę odegra w polskim wojsku podoficer. Dawniej był to człowiek źle płatny a nieinteligentny, skutkiem tego człowiek często przysłowiowo mało godny zaufania i notorycznie okrzyczany z powodu swej karciałości, delikatnie wysłowiwszy się. Dziś w oczach naszych rolę się zmieniają. Polski podoficer jest nie istotą wyższą naszymi, nie tylko żołnierzem lepszym od szeregowca wiedzą formalną i doświadczeniem. On daje żołnierzowi dwie rzeczy cenne: bezpośrednie życie, czynnik niezastąpiony, który harmonijnie uzupełnia rolę oficera — i przykład żywy. Na jedno zwróć uwagę. Polak lubi mędrkować. Gdy żołnierz polski otrzyma rozkaz, będzie myśleć, jak go spełnić najlepiej — swoje zapatrywania i indywidualizmy skieruje ku intensywnieniu, służby. Podoficer to właśnie skierowywa indywidualizm polski w stosowne koryto.

Wogóle Polak jako szef wojskowy wnika w ducha rzemiosła orężnego, dlatego nie lubi frazesów. Aż serce raduje się, gdy się widzi jak rzeczpospolita żołnierska nienawidzi frazeologii, szopkarstwa, kultu męczeństwa, jak wyczyściła chwast polski.

Bodźcem zaś do trwania w szarej a częściej czarnej doli żołnierskiej nie jest nigdy nienawiść do wrogów. Czy widział kto w pismach leguńskich humorystycznych choć cień tego, czem „Simplicissimus” karmiły czytelnictwo? Zaborczości, tygrysy instynktów, szowinizmu, negatywnego patriotyzmu nie będzie w armii naszej republiki. Żołnierz może będzie tym, który kocha Polskę. Dotychczas uczuliśmy się nienawidzić wrogów. Może tu leży jutro nasze. A może nie będziemy tak częściowo głusi, jak ludzie, których ucząc nienawidzić, nie nauczyliśmy nienawidzić Ukraińców czy Czechów. Przy ocenie walorów czysto żołnierskich nasuwa się tylko jedno spostrzeżenie: wysokie wyrobienie moralne żołnierza polskiego nie idzie w parze z rozwojem intelektualnym — jak dotychczas w całym społeczeństwie. Za mało absolutnie dotąd ludzi zainteresowało się wojskowością ze stanowiska teorii. I to prawdopodobnie jest uchyleniem zasłony jutra, które będzie miało charakter czysto praktyczny. Może szanowni Czytelnicy wybaczą pewną ekskursję w obręb dosyć piekacy. Praca moralna żołnierska musi być obecnie bardzo intensywna. Nowy żołnierz, z nakazu wypełniający kadry nie wnosi tyle rycerstwa, opieki nad słabszymi i poszanowania własności cudzej, co dawny ochotnik. Chamstwo, nihilizm, są najgorszymi wrogami wojska. Wiemy, że wysiłki władz są wielkie. Nigdy nie mogą być za duże.

Specyficzną cechą wojska polskiego, cechą, która nie wyrobiła się z jego żołnierskiego powołania, tylko z odrębnych podstaw kultury polskiej żołnierskiej, jest demokratyzm. Widać go już po objawach zewnętrznych. Nie chcemy się entuzjasmować dla tego lub owego sposobu tytułowania — ani nie mamy zamiaru propagować czy to pierwszobrygadowego „wy” — czy „panowania” czy innej formy — sucho rejestrujemy fakt demokratyzacji wojska. Tak samo rejestrujemy fakt, że kwestya przewilejów „jednorocznickich” zupełnie inaczej była stawiana w polskim wojsku niż np. u zaborców i inaczej będzie definitywnie załatwiona.

Z demokratyzmu polskiego płynie zdarcie niepotrzebne nimbu pozasłużbowego. Bolszewizmu nie będzie jak w armii carskiej, w której żołnierz marzył na posterunku, a oficer mroził szampana. W prądzie demokratycznym zrozumiał żołnierz polski, co jest jedną z największych przepaści między stanami: różnica wykształcenia i ogłady. Czy jest armia, w której tyle poświęcono czasu kółkom samokształcenia, bibliotekom, odczytom, jednym słowem dźwiganiu wszystkich na jeden poziom? Demokratyzm ten wyrósł ze zrębów wojskowości polskiej, która scartabellat dawał każdemu prostaczkowi. Każdy nieuprzedzony widzi, ile prostak polski zyskuje w armii. O między mamy tuż uż zagadnienie drugie, drugą drobną, ale znamioną cechą. Duże zestetyzowanie żołnierza. W pracy społeczeństw nad urobieniem ducha jednostek duża rola odegra estetyka masowa, na codzień. Nie tu miejsce na dysertację o kulturze piękna powszechnego. Żołnierz Polak rozumiał to świetnie. Żadna armia nie liczy w swych szeregach tylu ludzi, hołdujących pięknu w dźwięku, barwie czy formie, co Polska. Piękno jako potrzeba codzienna. Tom można napisać o sztuce żołnierza Polaka. I spełnił funkcję ważną.

Uznajemy znaczenie wypoczynkowe sztuki i znaczenie jej, jako rezerwoaru uczuciowego. Nie

przesadzimy, twierdząc, że żołnierz jest muzykalniejszy niż ogół społeczeństwa. Zwróćmy uwagę na strój żołnierski polski. Polak żołnierz dąży do specyficznego pojęcia estetyki stroju, nie dbając o niwelacyjną jednolitość. I słusznie. Uniform ma swe zadanie militarno-organizacyjne. Ma spełniać funkcję bojową (niełatwo dostrzegalny, trwały, wygodny) i organizacyjną (oznaczenie przynależności), ale nie ma dążyć do zrobienia z ludzi figurek, które bawi się mały Józio. Patrzymy się przez rozsądniejszy pryzmat na upodobania strojowe naszego wojaka!

Potrąmy jedną struną, która często, zbyt często brzmi fałszywie. Politykowanie w wojsku polskim. Ah, ileż tu wygrano dysonansów! Żołnierz polski od r. 1769 musiał być politykiem, gdyż albo oponował rządowi w akcyi niepodległościowej (konfederaci barsecy, Kościuszko, Belwederczycy), albo był ligionistą czyli demonstrantem politycznym pod cudzym rozkazem (Dąbrowski, Piłsudski) albo był partyzantem, rewolucjonistą, bojowcem, konspiratorem, który musiał sam tworzyć władzę polityczną, bo inni jej nie tworzyli, usuwając się od ruchu zbrojnego i lgnąc do koryta najeźdźców, jak to było w r. 1848, 1863, 1905.

Takimi partyzantami byli konspiratorzy związków strzeleckich, pień dzisiejszej naszej armii. Politykowanie żołnierskie wyłobiło głębokie łożysko świadomości, dało możność do ogromnych, nadludzkich wysiłków woli. Politykowanie żołnierskie to było tworzenie surogatu Polski. Dziś, gdy Polska jest, żołnierz jest obywatelem państwa polskiego bez zastrzeżeń. Ukochał ten płód gorącej myśli i stałowej woli i nie warunkuje swego patriotyzmu. Przynajmniej tak jest w szeregach naprawdę żołnierskich, gdzie nie mówi się „Polska będzie, ale musi być taka a taka”. Zaryzykuję twierdzenie, że politykowanie żołnierskie da owoc setny, błogosławiony. Dało żołnierzowi werwę, zainteresowanie. I gdy wpłynie żołnierz musowy, ocali go od tępoty, bezmyślności, nie zrobi zeń maszyn do mordowania ludzi, lub obiektu do tzw. markiracyi. A już polski żołnierz strasznie lubi narzekać. Pewne złogi duszy wypływają w tem narzekaniu a zostaje czysta energia czynu. Przed pięciu laty, w maju 1914 Józef Piłsudski pisał: „zasadniczym problemem odradzającej się wojskowości polskiej jest przeoranie współczesnej duszy narodowej... Łatwa mobilizacya, lecz równie łatwa demobilizacya zdolność do krótkotrwałych, słomianych entuzjasmów, brak wytrwałości, uporu i charakteru w osiaganiu zamierzonych celów; pospolita zwłaszcza wśród inteligencyi neurastenia i słabizna nerwowa; skłonność do sejmikowania, przeczulona refleksyjność i hyperkrytycyzm; częsty brak instynktu karności, nieumiejętność podporządkowania własnego zdania cudzej decyzji, wyodrębnianie się w imię małych różnic — to wrogowie niebylejacy”. („Strzelec” Nr 2).

Czy rewia oraczy narodowych wypadnie ku zadowoleniu Wodza? Żołnierz polski wydobył te skarby czysto wojskowe, wytrwałość, który położył Naczelnik na froncie, karność, podporządkowanie się, te skarby, o które pierwszemu żołnierzowi Rzeczy najwięcej chodziło. Wydobył kulturę moralną, którą wkłada w miejsce kultury nerwów. Ale tworzy jeszcze więcej wartości, które może dla generała są błahe, ale które badacz kultury zapisze skwapliwie i z ochotą.

S. P.

Hart, czy bezsiła ?

Istnieje w głębi duszy ludzkiej, bez względu na jej rozrost i uszlachetnienie, początek dziwnej cudotwórczej siły, która stać się może wprost niepomiarnej w rozkwicie i owocach, a siłą tą twórczość dobroci. Dobroć działająca stale w entuzjastycznie zapalnym podnieceniu, kierowana nakazem rozumnej myśli, a zdążająca wraz do jasnego, świadomego celu, ma w sobie ową niepokonaną moc spełnienia, rękojmię wczesnego tryumfu i radość z przewidzianego zwycięstwa. Skoro czyn nasz tedy czerpać będzie u źródła z tej cennej właśnie krynicy, stanie się zawsze czymś doskonałym i szczęsnym.

Gorące nieogotyczne umiłowanie losów narodu, żywy sprzyjający interes odczuty dla własnej, rodzinnej ziemi jedną jest z najszlachetniejszych własnie odmian twórczej dobroci. Przez nią i dla niej czujemy się zdolni nieść wielką ofiarę samopoświęcenia, zapomnieć o własnej codziennej wygodzie podporządkować ciche wewnętrzne pragnienie pragnieniu wzniosłej, potężnej idei. Jej tylko służyć, jej bronić i dla niej szerokie zdobywać podłoże. Zwać to będziemy może wprost patryotyzmem, a jest ono tylko najgłębszą dobrocią.

Dobroci tej uczyć się nam trzeba, nie będzie to przecież rzeczą trudną, bo dobroć jak owo czarodziejskie jabłko złote z bajki, albo jak ów chleb Chrystusa legendowy, dzielony między rzesze głodnych, miast zmniejszać się cudownie: polepsza.

Dobroć też mnoży się tak: doskonali.

Niá hojni, a nawet rozrzutni, nie ubożejemy, przeciwnie zaś rozpętować siły swe możemy do mocy wszelkiego wytrwania i hartu.

Dziś kiedy poprzez krwawą pomrokę panującej grozy wyłaniać się zaczyna radosne, utęsknione przez naród nasz Objawienie Jutra, gdy Zygmunty „Przedświt“ staje się już Świtem, a kiedy wraz najcięższy, najboleśniesz może wysiłek dopełnić dopiero musimy i nieść ostatnią w dani hekatombę, dziś więcej niż kiedykolwiek mocy tej nam trzeba, spójności i wytrwania, odwagi i wiary. Skoro tych by nam nie stało, krok nasz byłby jeno mozolnem, a bezmyślnem deptaniem jednej zawsze pędzi. Zamiast się posuwać ku własnej przystani, stalibyśmy w miejscu, w bezruchu i rozkładowej raczej inercji. Jest to tragedia duchowej bezsiły. Grozi ona klęską, nas jednak na szczęście nie dotyczy. Społeczeństwo nasze zbyt zilnem ożywione jest zrozumieniem i nazbyt głęboko przyjęte ukochaniem zrębów własnej budowli, by raz zrzuciwszy haniebne, choć nie hańbiące nas dotąd okowy, włożyć się w nie znowu mało okrwawione dłonie. Szarpani uniemy sprostować przytłoczone barki i smagani wnosimy dumne, czyste czoło i nie już wzgardliwym milczeniem, a krwią własną okupujemy swe obywatelstwo. Na hart się zdobywamy, którego nam trzeba nietylko dla celów obrony, ale i tworzenia.

Przeorać glebę żeleźcem twardej woli, wzruszyć ją głosem swego przebudzenia, użyźnić potem wzmożonego trudu, aby wyrównać przedawni one niewola braki, aby gonić czas stracony, by naprzód, wciąż naprzód z postępem iść i kulturą, oto nasze credo, to nasze zadanie i oczekujące nas wysiłki.

Więcej niż kiedykolwiek i więcej niż komukolwiek hartu nam dziś potrzeba. Jedynie drogą gorącego zapału i silnego niestartanego przeszkodami

umiłowania zdobyć się możemy na ten ogromny imponujący akt twórczy ojczystej dobroci. W ciągłym napięciu, w niesłabnącym pogotowiu, przy ustawicznej chęci przysłużenia się Ojczyźnie trud spełnić ten jeno możemy,

Naprzód i naprzód, krok za krokiem, pędź po pędzi, a dalej i dalej! Niech nic nas nie powstrzyma, nie nie ostudzi, nie nas nie zraza! Całe gorąco uczciwej, wiernej piersi wlać trzeba nam obecnie w codzienne nasze życie. Sił nie marnować, a niecić i wytwarzać. Choć duch się łamie, wznosić się i dźwigać. Naprzód, wciąż naprzód, niezmordowanie, do mety bowiem już niedaleko! Wstrzymać się nam nie wolno, wola nasza i ukochanie zdobędą wszelkie zapory. Dojdziemy zwycięzcami, dziedzice krwawej po ojcach spuścizny, nieustraszeni, czyści i silnej pełni wiary, dojdziemy wreszcie po niewoli wieku do upragnionej, wypatrywanej wciąż mety.

Bądźmy jako ów Maratończyk, nie poto jednak, aby paść u celu, lecz poto aby żyć!

Dr. BOL. OR.

Pierwszy pobyt misji generała Berthelemy we Lwowie.

Pamiętamy wszescy entuzjazm, jaki wywołało przybycie w czasie walk listopadowych do miasta znanego francuskiego porucznika Willaime, Wojskowi i cywilni przedstawiciele społeczeństwa mogli od pierwszej chwili z wysłannikiem ambasady w Jassach mówić szczerze, bo on także wypowiadał się otwarcie, serdecznie. Zetknięcie się to w warunkach osobliwych wykazało pokrewieństwo temperamentu narodowego, jednorodność kultury, która obu stronom pozwoliła odrazu wzajemnie się zrozumieć i wzajemnie sobie zaufać. Z jakąż niecierpliwością czekaliśmy na wynik jego informacyjnej podróży, na skutki przedstawionych memoriałów. Wiadomości pierwotne o zabiciu porucznika przez Ukraińców, sprostowanie, doniesienie o internowaniu go w Tarnopolu i o wypuszczeniu kolejno nas martwiły i cieszyły. Miasto pokochało tego Francuza. Rzecz dziwna, nie wygasły te sympatyje, gdy czas udzielił nam zdrowej nauki, że przedewszystkiem na swoje siły liczyć mamy.

Pobyt powściągliwego angielskiego pułkownika Wade'a mniej już oddźwięku budził w sercu Lwówianina, choć właśnie więcej miał wagi.

Witaliśmy potem amerykańską misję żywnościową z Mac Cormickiem na czele. Rodak nasz p. Czarnecki ułatwiał nam zrozumienie intencji życiowych cudzoziemców.

Gdy przybyła do Polski misja gen. Berthelemy nie potrzeba było znowu żadnego pośrednictwa, żadnych zapewnień, aby się zrozumieć i sobie uwierzyć.

Sceptycy będą przytaczać różne wydarzenia w dziejach na stwierdzenie faktu, że zapęły nasze i nadzieje zostały zmrożone. Tym odpowiemy, że zaufanie w sprzymierzeńca nigdy nie uwalniało od praktykowania zdrowej zasady liczenia się z realnymi warunkami. Polityki ani dyplomacy nie robj się uczuciami, lecz objawy sympatyj i przyjaźni w wielu wypadkach wygładziły ścieżki i przełamały lody. Tak też było z misją francusko-angielską, wysłaną przez gen. Franchet d' Esperay prawdopodobnie na prośbę P. K. L., wyrażaną przez jej de-

legatów prof. Grabowskiego i prof. Konopczyńskiego, wysłanych w połowie listopada do Belgradu.

W Budapeszcie członkowie misji byli otoczeni dyplomatami czeskimi, którzy starali się wytworzyć u nich poglądy dla nas niekorzystne. Wiadomo zaś, jak poważne są wpływy Czechów we Francji i jak dobrze zorganizowaną posiadają oni służbę dyplomatyczną. Deputacja ukraińska również zaopatrzyła generała Berthelemygo w memoriały. Wyjeżdżali tedy ci Panowie zupełnie nie zorientowani, co do słuszności naszej sprawy bynajmniej nie przekonani, o naturze właściwej sporu polsko-ruskiego i czesko-polskiego niepowiadomieni.

Delegaci przybywali aby zbadać u nas sytuację wojskową, poinformować się o naszym odnoszeniu się do bolszewizmu i w ogólności przekonać się jaką wartość Polska przedstawia dla koalicji. W niejednym byli niekorzystnie dla nas usposobieni, nieufni. W tych warunkach silnie musiało oddziaływać na nich niezwykle przyjęcie jakie im zgotowano u granicy Polski i szczególnie w Krakowie. Nie tyle mowy na nich wywarły wrażenie, co widok naszej młodzieży i naszych dzieci, witających ich z taką radością i z taką ufnością. Przekonali się, że znaleźli się wśród swoich, wśród sprzymierzeńców. Symboliczna zamiana płaszczy między generałem Gologórskim a gen. Berthelemy była wyrazem serdecznego oddźwięku jaki to powitanie znalazło. Skuteczniejsze były te okrzyki tłumy niż długie wywody dyplomatów o wspólności interesów.

Publiczność podniecona nastrojem owacyi spodziewała się natychmiastowych skutków wizyty możnych gości. Zapominano przytem o tem, że przez długie lata wojny odcięci byliśmy od zachodu, że przed wojną dyplomacya francuska, angielska i włoska mało się mogła zajmować kwestyą polską, że trzeba było wtedy dopiero zapomocą specjalnego komitetu franko-polskiego tę sprawę powoływać do życia w umysłach polityków zachodnich. Nawet geografia naszej ojczyzny sprawiała we Francji pewne trudności. W czasie wojny zaś nurtowały u nas prądy, no których reminiscencye musiały pozostać w umysłach. Delegaci mieli więc dopiero w tem państwie świeżo powstałym zebrać ten materiał informacyjny dla swych rządów, który w innych państwach zbierają systematycznie ambasady. Wszystko niemal było dla nich nowem, wobec wszystkiego musieli stosować Descartes'owską zasadę wątpienia, zwłaszcza zaś starannie mieli zbadać rzeczywisty nastrój społeczeństwa, o ile ono istotnie jest przyjazne dla ententy, i wrogie bolszewizmowi. Prostu na podstawie raportów, potwierdzanych przez dyplomatów czeskich przedstawicieli koalicji mogli przypuszczać istnienie jeszcze obecnie austro-filskich stronnictw lub też prawdziwego ruchu bolszewickiego. Z drugiej strony pod wpływem ukraińskich oświadczeń mogli się członkowie ludzi, że potrafią właśnie Ukraińców pozyskać jako armię przeciw bolszewizmowi.

Od dwóch wysłanników rządu francuski i angielski, jakoteż dowódcy naczelni domagali się od powiedzi (w imię interesu ententy), jakie znaczenie przedstawia Polska. Przyjechali więc aby wyznaczyć naszą siłę narodową: skarb i wojsko. Trzeba było nadto sprawdzić wartość aksjomatu, że Polacy nie potrafią się rządzić. Wszak niedawno jeszcze sam naczelnik państwa o naszej zdolności w tym kierunku w swem orędziu sejmowem ujemnie się wyrażał. Obecnie tem większe mogą mieć wą-

pliwości, czekają na okazy do egzaminu i obserwują. To właśnie zadanie mają misye. Nie zapominać, że w rodzinie państw jesteśmy obecnie jedni z najmłodszych.

Troską najpoważniejszą dla państw koalicji jest bolszewizm. Nie też dziwnego, że sprzymierzeni szukają silnych czynników, zdolnych zaciężyć w walce z nim.

Pozatem wyłaniały się kwestye szczegółowe, ekonomicznej wagi. Trzeba było się wprzód upewnić o charakterze dłużnika nim się otwarło Kredyt. Co do konfliktu w Galicyi wschodniej należało sprawdzić, czy istotnie utrzymanie polskiego stanu posiadania leży tylko, jak to Ukraińcy głoszą, w interesie obszarników.

Iluzye publiczności naszej co do natychmiastowej interwencji podtrzymywały wiadomości dzienników, że celem misji jest „zbadać na miejscu polsko-ruskiego terenu walki, oraz obmyślenie sposobów, celem zapobieżenia dalszemu rozlewowi krwi w czasie pertraktacji pokojowych przez zaprzestanie kroków nieprzyjacielskich“. Ważność misji została podkreślona przez dodanie jej dwóch przedstawicieli polskiego ministerstwa spraw zagranicznych, a przybranie przez nich rzeczoznawcy w osobie inżyniera i sam fakt, że aż dwóch członków misji było inżynierami zdawało się wskazywać na konkretne demarkacyjne zadania.

Misya wojskowo-dyplomatyczna musiała się na terenie walki, zwłaszcza ze względu na możliwość objęcia roli pośrednika, otoczyć tajemnicą. Prasy nie dopuszczono, wojskowe biuro prasowe otrzymało potrzebne instrukcje. To odgraniczenie się od publiczności było też konieczne ze względu na metodę pracy. Ktokolwiek ma trochę doświadczenia w podobnej służbie zrozumie jak bardzo nużą liczne odwiedziny, jak bezużyteczne jest powtarzanie tych samych szczegółów i poglądów przez dziesiątki informatorów natarczających i niecierpliwych, z których każdemu się zdaje, że on pierwszy odkrywa doniosłość danej kwestyi. W Krakowie garneli się do misji wszyscy: we Lwowie, ze względu na czekające zadanie, trzeba było się od publiczności odgradzić. Zasadniczo stykano się tylko z czynnikami wojskowymi. W paru przyjęciach mieli oczywiście delegaci sposobność wymienić myśli i dowiedzieć się o pragnieniach ludności cywilnej, zetknąć się z przedstawicielami wszystkich kierunków politycznych. Jednak informacje musiały, rzecz naturalna w każdej służbie dyplomatycznej, przedstawiać się drogą właściwą, przez powołanych pośredników. Obsługa ta była doskonale zorganizowana. Obok delegatów ministerstwa spraw zewnętrznych, prof. dra St. Dąbrowskiego i posła S. Wańkowicza, fungował adiutantura, złożona z ludzi młodych, zwinnych, rzutkich. Nadto Oddział prasowo-statystyczny Dowództwa, delegował stale przydzielonego referenta. Dostarczano codziennie przegląd prasy, tłumaczono wszystkie ważniejsze artykuły. Generał Berthelemy zaś czytał wszystko, w tekście polskim zakreślał niestrudzenie, około dziesięciu tłumaczy pracowało do późnej nocy. Ta sama droga i przez powołanych przedstawicieli rządu dostawały się raporty i memoriały o ważniejszych kwestiach, o bolszewizmie ukraińskim, o gwałtach wojsk ruskich, o zaścianach w dzielnicy żydowskiej. Elaboraty te pochodziły przeważnie z biura archiwalnego Komisji rządzącej, pod kierownictwem znakomitego historyka prof. dra Adama Skalkowskiego pozostającego, lub też od refe-

renta Oddziału prasowo-statystycznego Dowództwa W. P. Generał Berthelemy dopytywał o uzasadnienie szczegółów przytoczonych, poddawał wprost egzaminowi swych informatorów, a major de Letoile starannie jeszcze wertował i streszczał materiały. Dostęp mieli do generała łatwy i częsty cudzoziemcy: Angliacy i Francuzi u nas osiedli, ich informacje o naturze zatargu ukraińsko-polskiego nie mogły być dla nas niekorzystne. Niektóre zaś objawy apetytów zbyt zaostrzonych na nasze tereny, które objawili kapitaliści i przedsiębiorcy obcy, zostały sparaliżowane, dzięki czujności i stanowczej postawie polskich przedstawicieli przy misyi.

Tymczasem publiczność poczęła się niecierpliwić długimi naradami. Po wyrazach sympatii, po słowach gen. Berthelemy, że „Francya i Anglia żywią więcej niż przyjaźń dla Polski“, spodziewano się czynów szybkich. Zaczęto formułować w prasie postulaty: domagano się przywozu broni, amunicji, mundurów i żywności. Gdy to nie następowało, prasa dała wyraz rozczarowaniu. Pisma krakowskie pierwsze ironizowały, że koalicja wysła „jeszcze jedną misję“. Nie zważano jednak na realne możliwości, nie baczono, co koalicja dać może, na zależność transportów od środków komunikacyjnych.

Ze swej strony członkowie misyi, choć wiedzieli o tem zdenerwowaniu opinii naszej, pracowali dalej spokojnie i z właściwą, tegim fachowcom, gruntownością. Badali nastrój tłumy, który w czasie powitania na ulicach miasta i pod pomnikiem Mickiewicza żywiołowym ruchem masy zmanifestował przyjazne uczucia dla Francyi i Anglii. Dalsze dowody oddania się otrzymali na uroczystem przedstawieniu w teatrze, na przyjęciach wydanych na ich cześć przez władze cywilne. Poszli następnie do obozu i do okopów uściśnąć dłoni żołnierzowi, i tam znowu objawy uczuć przekonały ich o braterstwie broni, do jakiego się poczuwamy. Przegląd oddziałów pozwolił delegatom urobić sobie korzystny sąd o sprawności bojowej żołnierza. O ofiarności i bohaterstwie jego mogli się też przekonać odwiedzając szpitale. Wbijając gwoździe w sztandar 1. pułku strzelców lwowskich gen. Berthelemy i pułk. Smyth dobitnie zaznaczyli swe uczucia sprzymierzonych i przyjaciół, oddanych a możnych. Nie mniej zajęła delegatów dola znękanym mieszkańcom Lwowa, zwiedzali kuchnie ludowe, przystawali przed straganami. Często też spotykano gen. Berthelemy na mieście, badającego ceny na wystawach sklepowych, obserwującego ruch uliczny. To też polubiano we Lwowie generała, na wiadomość o chorobie spieszo z objawami współczucia. Ci, którzy mieli sposobność zetknąć się z dostojnym gościem ujęci byli serdecznem obejściem, podbili przez jego umysł głęboki i ruchliwy, zdumieni mądrymi pytaniami, wriskającymi w najdrobniejsze szczegóły przedstawianych mu spraw. Podobnie pozyskiwał sobie wszystkich pułkownik Smyth, Anglik szlachetnej, wytwornej postaci i rycerskiej myśli. Żądał w relacjach jasności i bezwzględnej prawdy, nawzajem był szczery i otwarty. Wspomniany już major de Letoile rozweselał swym jowialnym temperamentem południowca, pracownik to również gruntowny, któremu papiery nie przysłaniały rzeki i ludzi. Major Forthem, znawca spraw przemysłowych, aby zapoznać się z miastem, zostawiał w pałacu automobil i sam zapuszczał się w odległe ulice.

Długi, trzytygodniowy pobyt misyi we Lwowie, był dowodem szczerego i poważnego zajęcia się spra-

wą Galicyi wschodniej. Raporty, które do kwatery głównej zawoził por. Lamarque, zapoczątkowały regularne stosunki (wojskowo-dyplomatyczne z naszymi sprzymierzeńcami. Prof. Dąbrowski, przedstawiciel ministerstwa spraw wewnętrznych, przedstawia w następujący sposób zakres pracy misyi: „Położenie militarne, wojsko, służba sanitarna, stosunki aprowizacyjne i zdrowotne w mieście, natura konfliktu polsko-ukraińskiego, nastrój społeczeństwa we wszystkich jego warstwach, partye polityczne i ich programy społeczne, kwestya żydowska, ludzie i rzeczy — wszystko zostało zbadane i ujęte w postaci memoriałów, które odeszły lub mają odejść na Zachód“ („Słowo Polskie“ nr. 30. z dnia 9. lutego 1919). Rozumiemy tedy jak doniosłej wagi były relacje, jakie delegaci zdali głównej misyi przez konferencję sprzymierzonych do Warszawy wysłaną.

Możemy na podstawie danych, jakimi rozporządzamy, stwierdzić, że wszystkie wątpliwości, o których wyżej wspominaliśmy, zostały na naszą korzyść wyjaśnione. Przedstawiciele Francyi i Anglii zrozumieli właściwy charakter klasowy ruskiego ruchu w Galicyi, przekonali się o niekarność ukraińskiego wojska, o nieodpowiedzialności czynników kierujących, które nie mogły zapobiedz ostrzeliwaniu parlamentaryszu. Udało się też sprostować pracowite oszczerstwa żydowskich menderów w rodzaju dra Aschkenazego, przeciw naszym władzom cywilnym i wojskowym skierowane. Ubolewania godne zajścia w dzielnicy żydowskiej z dni 22. i 23. listopada 1918, sprowadzono do właściwej miary. Oświetlono też należycie stosunek społeczeństwa żydowskiego do polskiego w czasie wojny i wobec konfliktu polsko-ruskiego.

Delegaci zdali sobie sprawę, że znaleźli w nas sprzymierzeńców przeciw wschodniej anarchii, towarzyszy broni w walce z zalewem barbarzyństwa. Zetknięcie się codzienne z tymi wybitnymi mężami dawało nam też inne korzyści. Mogliśmy nieraz usłyszeć zdrowy a życzliwy sąd o naszych stosunkach, o tem, co leczyć u nas trzeba, o sile, jaką z siebie należy wydobyć. Słusznie pisze też por. inż. Szczepanowski: „Kto towarzyszył ich gruntownym pracom, miał sposobność do poważnego rachunku sumienia, do bilansowania stanu sił i widoków rozwoju“.

Ludek lwowski, znękany oblężeniem i bombardowaniem, radby był mieć bezpośredni wynik pobytu misyi. Wyobrażano go sobie jako nakaz pod adresem naszych wrogów. Niektórzy radzi by już byli dowiedzieć się o zawieszeniu broni, o ugodzie. Ci co pragnęli ocalić się od pocisków ukraińskich zapominają, że na Lwowie się Polska nie kończy i że kompromis mógłby mieć fatalne następstwa. Właśnie szczerze oddanie się sprawie polskiej nie pozwoliło delegatom ententy na zakończenie sporu dla nas niekorzystne. Inż. por. Szczepanowski tak pisze w swej relacji w dzień wyjazdu misyi ze Lwowa (dnia 9. lutego b. r.) złożonej: „Sprawy wschodu nie dojrzały jeszcze do załatwienia choćby tymczasowego. Na załatwienie, wynikające z chwilowego położenia strategicznego, które miałyby w sobie choćby zarodek kompromisu, mogącego wpłynąć na trwałe ukształtowanie granic Polski — sami nie zgodzilibyśmy się żadną miarą“.

Lepiej bowiem, że kongres zostawia nas broniących się przeciw bolszewickiemu chłopstwu, protestujących przeciw fałszywemu i gwałcącemu sposobowi stosowania zasady samookreślenia ze strony działaczy ukraińskich, niż gdyby miał na karcie mieć

przed oczami dowód naszej słabości, częściowej kapitulacji w postaci prowizorycznej granicy.

Niewątpliwie, że omawiana mogła być jedynie „myśl wyznaczenia czysto wojskowej linii demarkacyjnej, umożliwiającej chwilowe wstrzymanie walki”. Jednak nawet do takiego zawieszenia broni brak było po stronie przeciwnej warunków, brak władzy zorganizowanej i odpowiedzialnej.

Dlatego też uważali delegaci za stosowne wskazać narodowi rycerskiemu, że na teraz jedynie słuszną załatwienie sprawy będzie na końcu miecza polskiego. Zaznaczył to gen. Barthelemy w swoim przemówieniu, pełnem głębokiej treści na pożegnalnym wieczorze dnia 9. lutego wygłoszonym. Wskazywał, że rozumie dobrze konieczność rychłej pomocy ze strony koalicji. Prosił jednak, aby zrozumiano, że sprawozdania długo idą do Paryża z powodu trudności komunikacyjnych i że akcja wymaga przygotowań.

Dwa przemówienia generała najlepiej ilustrują wyniki trzytygodniowej pracy informacyjnej. W pierwszy dzień pobytu (24. stycznia) wygłosił on tylko krótki toast żołnierski, w którym jednak już zaznaczył co było potrzebne: „Je vous assure que toutes nos sympathies vont envers la Pologne”.

Na zakończenie swego pobytu generał już nie lękał się obszerniej przemówić.

Przypomniał treść depechy Pichona do prezydenta Paderewskiego i pił „na cześć bohaterskiego miasta Lwowa, na cześć walecznej armii polskiej, na cześć Polski, okrytej chwałą”. Walkę za Polskę utożsamiał z walką za ideały wolności i kultury.

Streszczając rezultaty podjętych rokowań i wyrażając swój pogląd na sytuację wskazywał jedynie na chwilę obecną wyjścia: „Jak długo nie zwycięży prawo, tak długo panuje siła, ... zatem trzeba być silnym, bardzo silnym”.

W chwili, gdy artykuł ten oddajemy pod prasę, grzmiały jeszcze działa. Przyjeżdża znowu delegacja wielkiej misji dyplomatycznej ambasadora Noulens. Gen. Berthelemy nie zawiódł nas, jedną z pierwszych trosk misji jest znowu sprawa wschodniogalicyska. Żołnierz kresowy nie zawiódł swego możnego przyjaciela, walczy dalej jak gen. Berthelemy przewidział „aż do słusznego załatwienia tej sprawy”.

Szkice lwowskie.

(Ciąg dalszy).

3. Artyleria lwowska.

Zorganizowana przez Dowództwo Wojsk Polskich we Lwowie artyleria, wskrzesza tradycje dawnej artylerji miejskiej, która obok królewskiej stawiała niejednokrotnie tak skuteczny opór podczas oblężeń kresowego grodu.

Skromne były ongiś zaczątki artylerji miejskiej we Lwowie. Gdy za Kazimierza Jagiellończyka miasto murem umacniać zaczęto, zakupiono w r. 1483 na wały miejskie pierwsze działa, a były to hakownice w liczbie 19 za 26 złp. i jedna mała tarasznica za 6 złp. Niedługo potem zatoczono na forty lwowskie dużą tarasnicę i hutnicę zwaną kardynalską stąd, że darował ją miastu król Fryderyk. Jego też cyfry i herby zdobiły to działo.

Z czasem rozporządzała artyleria lwowska coraz większą ilością dział najrozmaitszych, coraz też liczniej uwijali się puszkarze na miejskich wałach. Za

Zygmunta Augusta posiadało miasto swoją ludwisarnię, później swój arsenał czyli cekauz, prócz arsenału królewskiego koło Dominikanów.

Lwów — strażnica kresowa i przełmurze opiera się tylekroć i skutecznie wichurom, co zda się niepowstrzymane szły od wschodnich rozłogów, rozpętane hen wśród stepowych burzanów. Na zakusy wroga odpowiada Lwów hukiem swoich armat donośnym tak w pamiętnym roku 1648, jak i w siedem lat później. Chmielnicki „krwawy gość” odstępował od murów miasta, choć prowadził na nie nieprzeliczone zaskiępy kozaków i Tatarzy, a później sprzymierzonych z sobą Rosjan. Król Jan Kazimierz chwali męstwo obrońców, a dla konfraterni strzeleckiej śpieszy w r. 1651 z przywilejem, w którym artylerji miejskiej dank należy zanoszący za to „iż odpędzili od murów wiarołomnych i buntowniczych kozaków, oblegających miasto przez kilka tygodni, dzięki umiejętności i zgrabności w strzelaniu, iż małą garską wystarczali na taką rozległość wałów”.

W istocie artylerja miejska działała dla obrony Lwowa wówczas bardzo wiele. Otoczona należyta opieką miasta, była dumą panów rajców, Magistratu i całej społeczności Lwowa. Kierowana umiejętnie przez generałów artylerji królewskiej, związała z sobą takie sławetne nazwiska w dziejach obrony Lwowa jak Krzysztof Arciszewski i obu braci Grodzickich.

Dziś we wskrzeszonej Rzeczypospolitej, odżywają też dawne tradycje w utworzonej obecnie dla obrony kresowej stolicy artylerji lwowskiej. Pułk czwarty artylerji ciężkiej kilka liczy baterji, a z tych trzecia największe posiada działa, na najdalsze też dystanse wysyła swoje głośnie pozdrowienia wrogowi. Dwie armaty, siostrzyce dawnych tarasnic, szrubnic, bombard, kartaunów, notszlangów, hartownic i jak je tam jeszcze zwano — przemówią od czasu do czasu donośnym swym głosem, od którego gromowe iście echo idzie po świecie. A wówczas czuje się w swoim żywiole i raduje się szczerze komendant baterji porucznik Jan Durski. Taka sama radość błyskała w siwych oczach stryja śp. Antoniego, zasłużonego naczelnika, kiedy podczas zlotów sokolich patrzył na nieprzeliczone szeregi szarych żołnierzy z płamą amarantu na piersiach. W innych okolicznościach i czasach rodziła się radość stryja, w odmiennych cokolwiek warunkach budzi się zapal bratanka, z jednego jednak i tego samego wypływają źródła, a to z serdecznej miłości Polski i rodzinnego miasta.

Kieruje porucznik Durski lufy swych dział dalekonośnych w myśl rozkazu to w stronę równin: za żółkiewską rogatką, to ku romantycznym ostępom Lesienic i Czartowskiej Skąły, to znów w kierunku nieśczęsnych Sokolnik — jak każą. Polykają posłuszne rury śmiertcionośny ładunek, by zgnać nim w danej chwili tam gdzie należy i przemówić tak głośnie, jak one tylko umieją. Błysk i huk, przeciągły pojęk szrapnela, momentalne przesunięcie się lufy na swem łożysku i pocisk poleciał prując powietrze. Ruszył się ogon armaty, zarył się głębiej do ziemi, ale już pracowała obsługa artylerzycka doń przypadła i ustawia go tak, jak tego „cel pomocniczy” wymaga. W paszczęce lufy ugrzązł nowy pocisk, za chwilę poleci w swą drogę... bateria trzecia przy robocie.

Podczas oblężenia Lwowa przez kozaków w r. 1655 dał obrońca miasta generał artylerji królewskiej Krzysztof Grodzicki Chmielnickiemu prześliczną odpowiedź. Temi samymi słowy huczą dziś rozgłosnie naokoło armaty lwowskie, a słowa te brzmią: „Tego po-

wietrza, którem tchnę i tego kawałka ziemi która ma być moim grobem, nikt mi nie potrafi wydrzeć".
być moim grobem nikt mi nie potrafi wydrzeć".

Na pozycyi, 12. stycznia 1919.

4. Kościół załogi.

Jezuitem sprowadzonym przez arcybiskupa Jana Dymitra Solikowskiego w r. 1584 do Lwowa, nie odrazu było danem wzniesić własne ołtarze. Stanęły temu na przeszkodzie długie procesy z żydami o plac budowlany. Dopiero możne protekcje szlachty i hojny zapis Elżbiety z Sieniawskich Gostomskiej sprawiły, że w r. 1610 poświęcono kamień węgielny pod budowę świątyni. Około r. 1635 wykończono ostatnie roboty i kościół jeden z największych we Lwowie, dzieło stylu nowego, począł ściągać do wnętrza tłumy pobożnych. Różnił się on w tym czasie cokolwiek wyglądem od kościoła w stanie dzisiejszym. Nad dach świątyni wybiegała wieża, najwyższa wówczas z wież lwowskich. Dziś jedno tylko jej piętro zostało, bo piętra wyższe, grożące zawaleniem, zniesiono w r. 1830 na rozkaz rządu.

Miał kościół możnych protektorów, oni też obok tłumy prostaczków krzepili tu dusze modlitwą. Modlił się tu Władysław IV, Jan Kazimierz, a także zwycięzca z pod Chocimia i Wiednia. Tu padł na twarz przed ołtarze po zwycięstwie nad Rakoczym ów hetman, co to pięknie zwykły mawiać o sobie, że „ani z soli ani z roli” nie urosł. Tu codzień zachodził inny hetman, w pamięci i kronice Lwowa tak dobrze zapisany — Stanisław Jabłonowski. Chwała oni wszyscy Rzeczypospolitej i honor prawdziwy!

Ale nie stało tych mężów hartu i żelaza, nie stało też po nich i Rzeczypospolitej. A wówczas zarojła się świątynia Pańska żołdactwem obcem, zajaśniały obce godła, nie nasze sztandary. Bo po kasacie zakonu przez rząd austriacki, oddany został kościół wojskowości na nabożeństwa garnizonowe.

Mijały lata długie, gasły niejedne nadzieje narodu, nowe się rodziły, pokolenie każde szło przez krew i łzy. Tu w świątyni na ziemi polskiej wciąż błyszczał mundur obcy i niejednokrotnie szeptał ulatywał... Vater unser...

Tak było długo, długo, do niedawna. Wszakże pamiętacie: Po skończonem nabożeństwie ustawia się przed kościołem orkiestra przeważnie z Czechów-muzykantów złożona. Z kościoła wysypuje się wojsko, ustawia się w szeregi. Pada komenda, oddziały ruszają a przygrywa im ochoczo muzyka w takt... marsza Radeckiego...

Dziś już te tony niepowrotnie przebrzmiały, a obrazek wystraszonego żołnierza stał się jedynie wspomnieniem.

Pierzchła z mora przeszłości i potem wszystkim kościół OO. Jezuitorów stał się dziś piękniejszy i droższy sercu. Biały orzeł zwycięski rozpostarł i nad nim szerokie i przytulne swe skrzydła, bo wszak to... kościół załogi polskiej we Lwowie.

Ostatnio modlili się w nim żołnierze polscy o spokój dla dusz tych towarzyszy broni, co legli w boju z Austriakami i Prusakami rok temu pod Rarańczą i Kaniowem.

Mieczysław Opałek
kapral Artylerji W. P.

C. d. n.

O „krytykach” słów parę.

Chciałbym zwrócić uwagę na dwie rzeczy, które są conajmniej zbędne w dzisiejszych stosunkach. Pierwsze na pewną niecierpliwość w oczekiwaniu wypadków wojennych, połączoną często, szczególnie u osób cywilnych z kawiarnianą krytyką dowództwa, po drugie na niedorzeczne sarkania „wszędzie na świecie pokój, tylko u nas się biją”.

Kto słyszał lub czytał o wojnach napoleońskich czy pruskich przed 50 laty spodziewał się, o ile nie był fachowcem, że kampania to jedna bitwa, a bitwa ta zdecyduje o wszystkim. Śniły mu się błyskawiczne szarże kawalerji, świetne kolumny piechoty, we wspaniałych marszach oskrzydłające wroga, a nad wszystkim, na pagórku wódz na koniu... Kto więcej przypatrywał się rzemiosłu wojennemu, temu błdy strach jeżył włosy — masy, ogromne milionowe masy, uzbrojone w najdoskonalsze karabiny i armaty — cóż to za rzeź będzie potworna... Nowa technika walki — o tem wiedział — tyraliera. niewidzialne wojska — fantacya łamała skrzydła swe. A więc na ogromnym placu bitwy w niedługim czasie dzięki straszliwemu ognio wi legną setki tysięcy trupów...

Przyszła wojna rosyjsko-japońska. Wprawdzie utwierdziła ona mniemanie o „bitwach”, gdyż owe armie były skazane na 1 linię kolejową tylko, choć rozciągały się już na tygodniowe „boje”, ale pokazała światu środki na piorunujące działanie ognia, fortyfikacje doraźne, nauczyła laika, że bagnet nie od parady wisi u boku żołnierza, że on rozstrzyga. Inni z ciekawością czytali o ciężkiej artylerji w polu i o granatach ręcznych, jak potem w wojnie bałkańskiej o kulomiotach. Nawiasem mówiąc, wojna bałkańska miała dla baczego widza też znaczenie ważne. Oduczyła przeceniania środków technicznych. Turcy mimo technicznej doskonałości włożeni w kadry obcej sobie rutyny wojskowej nie wydobyli sił moralnych, potrzebnych do zwycięstwa. Wreszcie nadciągnęła czteroletnia wojna światowa. Po krótkiej fazie starć ruchowych, „bitew” w otwartem polu, wojna skryształizowała się w walki okopowe. Między stronami wojującemi wyrósł długi, potworny, ogniem ziejący wąż — rowów strzeleckich — jednolita linia frontu, której nie można było oskrzydlić, czy zniweczyć w „bitwie”, trzeba było przełamać. Doskonalily się środki techniczne i stale wyrównywały. Entencie służyła liczba, Prusakom sprawność. Czytelnik lub słuchacz opowieści wojennych dostawał gęsiej skórki, przypatrując się repertuarowi woli zniszczenia. Ogniomioty, minomioty, gazy, walka podkopami i walka powietrzna, rekordy bardzo ciężkiej artylerji, jeżeli się tak wyrazić wolno. Widział jak pod naciskiem tych nadludzkich i nieludzkich wysiłków boje przenosiły się z rowów do systemu kryjówek podziemnych i jak technice przeciwstawiono czynnik moralny — kompanie szturmowe, które pracowały nie liczbą, tylko wyrobieniem. I widzieliśmy, jak masy, jakich wszystkie dotychczasowe wojny razem nie oglądały, skazane na ograniczenie ruchu do minimum, skrzępy w jakimś momencie bezwładności — i wojna musiała czyhać na wyczerpanie. Aż się jedna strona wyczerpała.

Dziś mamy wojnę zgoła inną, a ludność ciągle patrzy jeszcze okularami, które wdziewała, czytając o bojach nad Dunajcem czy Piawą. Dziś odpadł charakter masowy wojny, zniknęła ta bezwładność armii, które w czteroletniej wojnie nie przeszły ni części

tych odległości, które pokonali żołnierze napoleońscy w kilkumiesięcznej kampanii. Brak masy pociągnął za sobą zniknięcie jednolitej linii frontu, gigantycznego zygzaka okopów. Natomiast niepomierne wzrósł współczynnik ruchu. Małe oddziały, malutkie wnoszą w wojnę szybkość i lotność. Rozczarowanie strategów od czarnej kawy, że niema właściwie „linii” idzie w parze z dezorientacją co do zmienności wydarzeń. Do tego nieprzyjaciel zwłaszcza operuje nienuchwytnością, jaką cieszy się partyzantka chłopska, umiejacą się ocalić przed niszczącym pościgiem, który przede wszystkim jest celem bitwy. Ponadto zmieniała się rola środków technicznych. Są one i nie straciły waloru, ale częstokroć są na razie bezużyteczne, gdyż są stosowne albo do zwalczania urządzeń stałych (ciężka artyleria) a nie do walki z żywym materiałem, takich zaś urządzeń jest mało, albo też używa się ich tylko w walce okopowej i to na blizki dystans. A laicy sarkają, że nie urządzi się podkopów, nie puszcza gazów, że nie mamy czołgów itp. Widząc zmniejszenie mas, chcą rychłego końca, podniecani zmęczeniem wojennym. Zapominają, że wzrósł czynnik ruchu, który oddała rozstrzygnięcie à la minute. Wszelako nie zmieniły się naczelne zasady i kardynalne podstawy sztuki wojennej w nieczem. Wojna jest nadal zjawiskiem, stawiającem duże wymagania moralnej natury od żołnierza, wymagającem wytrwałych nerwów i ufności do dowództwa a od dowódcy żąda danych przedewszystkiem duchowych. Czy kto ma prawo sarkać i krytykować ducha armii? Najmniej już ci, którzy krytyką i kłamstwami przyczyniają się do osłabienia napięcia psychicznego armii.

Tak samo niedorzeczne są wieści, że tylko Polska jest terenem walk. Prawda, że koalicja zapobiegła walkom Czechów, Rumunów i Serbów z Węgrami, że Serbowie jeszcze nie biją się z Włochami i prawie spokój przerywany drobnymi starciami panuje na granicy słoweńsko-niemieckiej i na zetknięciu się serbsko-rumuńskim, ale już dalej na południe wre walka zaciętsza niż w r. 1918. Albania i Macedonia, jak czytamy w pismach szwajcarskich, które niedawno doszły do Lwowa, jest teatrem zaciekłych walk Serbów z Grekami, Greków z Włochami, Włochów z Serbami, nie mówiąc o rzeziach w Mniejszej Azji i w Trypolisie — o tem nie pisze się w prasie europejskiej, jak nie pisze się o Lwowie, zaściankowość zainteresowań ogarnęła wszystkich, więc wydaje się, że tylko w Galicyi istnieją walki narodowościowe. Gdy dodamy do tego Rosyę, gdzie Finlandya, Estonia, Łotwa, Litwa, Białoruś, Ukraina jest widownią bojów, krew leje się strugami na froncie nad Białym Morzem, na Uralu, w Orenburszczyźnie i w kraju kubańskim, ujrzymy, że Polska zupełnie nie jest specjalnie nieszczęśliwą oazą.

S. P.

ADAM STODOR.

Rwij, Orle, pęta, rwij!

Rwij, Orle, pęta, rwij,
a hardej piersi twej żary,
niechaj wyniosą cię w lot
niepokonanej cud — wiary,
w górne przestwory się wzbij
i ruń na wroga z wysoka,
zewrzyj się w walki z nim spłot,
niech krwi go zdławi posoka!

Czerwone w Znak twoje tło,
krwią dzisiaj ono niech będzie,
bo jeno ciemniejszy krew
zbawieniem w walki obrzędzie,
ona niweczy dziś zło
i niesie światło w ciemności,
walc, gdy obudził cię gniew
i cud Ojczyzny miłości!

Musisz okrwawić biel piór,
okrwawić musisz swe szpony,
bo wezwał naród cię twój,
co ożyć pragnie zbudzony,
co słońca pragnie, miast chmur,
co życia pragnie, rozwoju,
i widzi nadzieję swych zdroj
w tytanim, Orle nasz, boju!

I wierzy. — bo wiodłeś ty
tylekroć do zwycięstwa,
że zczętnie rozgromion wróg
wysiłkiem karnego męstwa,
że woje polskie, te lwy,
i ty, o Orle przebiały,
wyrwiecie z rządu nas sług,
wolne wróćcie nam działy...

I będzie potem naród nasz
rozstrzygał sam o sobie,
swą własną będzie siłą żyć,
nie dławiąc się w żałobie,
a ty, przejaska nasza straż,
wypłyniesz w wyż, w błękity,
by stamtąd mirem Polsee lśnić,
przejasny, srebrnolity!

KAZIMIERZ BUKOWSKI.

Tam, gdzie ranni leżą.

Wieczorem.

— — Blade, różowe światła skrzą się w sali lekkim poblaskiem. Na białych łózkach, skryci w puchy, leżą ranni — —

Czasem z pościeli zalsni znużona, blada twarz, otworzą się półsenne oczy i spojrzą błędnie po dużej sali. Krótkie oddechy przerywają głuchą, monotonną ciszę. Jeno w kącie jęczy ciężko ranny. Oddech z trudem. Młodą twarz chłopca powleka kredowa bladość.

— Siostró, woła słabym głosem.

— Idę, odzywa się siostra, biegnąc wzdłuż szeregu łóżek.

— Proszę mi poprawić poduszkę — — O tak

— Trochę niżej — —

Głos jego załamuje się. Patrzy przez chwilę na siostrę, krzątającą się koło niego, — potem znów przymyka powieki.

— — Raniono go pod Zboiskami. Ukraińska kula przebiła płuca i naruszyła kręgosłup. Od kilku dni męczy się. Jest bezwładny, porażony.

Obok niego siedzi skurczony chłopak, towarzysz niedoli, taki andrus z Warszawy i pilnuje go. Patrzy pilnie na swego pana, gotowy do usług na każde jego skinienie. Jest przywiązany doń jak pies.

— Biedny chłopak, mówi któryś. Kto wie czy wyjdzie — — Godziny jego są policzone — —

Inny trafiony w obie ręce narzeka na łamanie kości — — Tamten skarży się na ból w nodze — —

Siostra nieustrudzenie krząta się po sali. Tak całą noc — —

Światła gasną. Tylko lampa naftowa pali się na stole.

Słychać nierówne oddechy śpiących. Ktoś jęczy cicho — —

Wnoszą świeżego rannego. Sściągają łóżko, układają go.

Ranny patrzy szeroko otwartymi oczyma, rozglądając się po sali. Niektórzy budzą się ze snu.

Nagle jakiś chory poznaje rannego.

— Podchorąży, czy się nie mylę?

— Tak — —

— Wy tutaj? Gdzieżeście ranieni?

— Pod Czerniawą, koło Mościsk — — w nogę

— Kula karabinu maszynowego — —

— Był atak?

I ranny opowiada dzieje ataku.

Inni przysłuchują się początkowo uważnie, — przypominają swoje przeżycia. Sypią się pytania, odpowiedzi.

Potem zwolna zasypia wszystko wokół. Tylko ranny Warszawianin jęczy z cicha, przez sen, jakby odpędzając jakieś marzy, tłoczące się bezładnie koło niego w szarym półmroku.

Świt.

Przez wielkie okna wsącza się zwolna brzask. Sala jest taka wielka, biała — —

Z pomroku wyłaniają się białe łóżka i senne oblicza leżących.

Niektórzy już nie śpią.

— Dzień dobry, brzmi ogólne echo przez salę.

— Dzień dobry, siostrzyczko!

Zgrabna sylwetka siostry przesuwa się wzdłuż łóżek. Na twarzy uśmiech — —

Twarz rannego Warszawianina bieleje w kącie. Martwe oczy patrzą obojętnie na budzący się ranek. Obok niego krwawi się czerwony, pełny kwiat róży, jakby uśmiechał się doń czarem radości i życia — —

Zwolna nawiązuje się rozmowa. Posługacz wnosi śniadanie. Siostra nalewa chorem i przynosi każdemu do łóżka.

— Kawy, herbaty, czy mleka? pyta.

Niektórzy jedzą z apetytem, inni ledwie piją. Sypią się dowcipy i żarty.

— Siostro, może jeszcze! Jestem okropnie głodny!

— woła podchorąży z łobuzowatą miną, wyszczerzając zdrowe zęby.

A potem mycie się, czesanie, wogóle fryzura, niektórzy myją się sami — innych musi myć siostra.

Wchodzi ranna wizyta lekarska.

— Cześć! — woła doktor.

— Cześć! — odpowiada wszystko chórem.

— Jakże zdrowie?

Ten i ów skarży się na coś, inny ma iść do opatrunku. Lekarz obchodzi kolejno łóżka, pytając każdego o stan. Świeżego rannego wypytuje o coś.

— Dostanie pan dobrą dyktę — — A, to technik! Ma dobry apetyt! woła śmiejąc się lekarz — Dziś do opatrunku! — —

Lekarz znika a za chwilę wjeżdża do sali wózek. Wsadzają rannego. Do sali operacyjnej — —

Na sali operacyjnej.

Na kilku stołach leżą ranni. Odchylają się długie bandaże, odsłaniając zaropione i jęczące się rany. Jakiś młodzieńcy chłopaczek, suchy jak wiór leży skurczony na stole. Ciało jego wątłe drży pod palcami pielęgniarki, opatrującej starannie krwawiącą się ranę. Jest ranny w brzuch. Medyczka delikatnie zmywa krew i przykłada świeżą watę.

Chłopak jęczy cicho.

— Cicho, mały, nie krzycz, bądź grzeczny — bo nie dostaniesz obiadu, powiada doń wesóło lekarz.

Przy stole, zasłanym bandażami, stosami flaszeczek z lekarstwami siedzi panna i pisze dyagnozę, którą dyktuje jej pułkowy lekarz, schylony nad chorem. Oczy chorego błędzą po suficie. Słucha z zacięciem niezrozumiałych wyrazów łacińskich.

— Siostro, waty! — Nie tej! — Prędko! — woła z kąta sali lekarz, opatrujący przestrzelone wskrós ręce jakiegoś żołnierza.

Przywożą ciężko rannego. Kładą go na stole. Na nodze jego krwawi się ogromna rana, obramowana fioletowym brzeżkiem. Jest raniony odłamkiem granatu.

Lekarz zbliża się, ogląda ranę.

— Zaraz zaczniemy — proszę wszystko przygotować!

Medyczki przystawiają taborety z narzędziami i lekarstwami. Metalowe noże lśnią w naczyniach, długie, ostre, groźne.

Chory spogląda wokół błądzą, skupiony w sobie. Zbliża się chwila. Ma się odbyć operacja — —

Narkoza.

— Proszę uśpić, woła lekarz.

Medyczka przywiązuje rannego długimi bandażami do stołu. Krępuje mu ręce i nogi. Na twarz nakłada maskę z siatką.

— Proszę liczyć — raz, dwa, trzy — — —

— Raz, dwa, trzy — — — liczy chory.

Głos jego słabnie, staje się coraz głuchszy.

— Piętnaście, szesnaście — — —

— Dalej, dalej, zachęca medyczka.

Coraz powolniej liczy chory.

— Dwadzieścia pięć — — — trzydzieści — —

Nagle urywa.

— Proszę dalej — — Czy śpi? — pyta medyczka.

— Śpi już — —

Twarz żołnierza martwa, nieruchoma. Tylko oddech głęboki, szybki — —

Operator zbliża się, zgrabny, w gumowych rękawiczkach. Błysnęły w jego rękę lśniącej lancety. Zwinnie podają mu medyczki coraz inne narzędzia. Rana jest zoperowana. Zakładają szybko bandaż.

Ranny żołnierz jęczy cicho przez sen. Budzą go z narkozy. Powoli otwiera oczy i patrzy na zabandażowaną nogę. Jest — — Oddech głęboko, całą pierś — — Potem błędnym okiem błądzi po sali. I znów leży nieruchomy, w półśnie — —

Zajeżdża wózek. Wywożą go na salę.

Przez dzień.

Witają go okrzyki i spojrzenia. Na sali ruch.

— Jakże poszła operacja — — —

— Dobrze — —

Ranny patrzy teraz oprzytomniałymi oczyma. Układają go w łóżko.

Inni zabawiają się jak mogą.

Wpada dziewczyna z gazetami.

— Mała! Tutaj! Co masz?

— Poranna, Kurjer, Goniec...

— Dawaj tu! Prędko! wołają niecierpliwe głosy.

Wnet wszystkie łóżka pokrywają się białymi płachtami gazet. Wszyscy czytają w skupieniu.

— Patrzcie, no! Brześć zajęty!

— Morowo!

— Ukraińcy dostali po skórze!

Następuje żywa wymiana myśli, praktyka, noryzonty na przyszłość.

— Przecież przestali strzelać na miasto, woła ktoś z kąta.

— Ale drą się na Persenkówkę!

— Niedoczekanie ich!

Tymczasem na salę „wjeżdża“ śniadanie. Wszystkie głowy odrywają się od gazet.

— Siostró — mnie dużo ryżu!

— A jakże, pan jadłbyś cały dzień!

— Czy dziś będzie kompot?

— Lepiej nie!

— Ale za to sznycle!

Humory poprawiają się kiedy żołądki pełne. Zaczyna się żywa pogadanka.

Ktoś śpiewa figlarną piosenkę:

Dobrze mi się,

Dobrze mi się,

W szpitalu powodzi — — —

A inny znowu:

Wędrowali trzej ułani z wojny

Pytali się o nocleg spokojny

I znaleźli gospodę spokojną

Pytali się o Marysię strojną — — —

Zapomina się o bólu, o strasznej ranie — a myśl biegnie szlakami marzeń, zwłaszcza że przez okno wpadł jasny promień słońca i rozpylił w sali radosną jasność, jak aureolę wokół głów leżących — —

Koncert.

— Dziś koncert!

— Ja idę!

— Ja pojedę, siostró!

Zmieszane głosy wyrrywają się z łóżek.

O oznaczonej godzinie sala „koncertowa“ w jednej z sal chorych zapełnia się gośćmi. Przywożą ich na wózkach, inni idą, kulejąc lub podpierając się kijem. Mnóstwo białych kapturków siostr. Humor, swoboda, wesołość — —

Nie poznać po twarzach rannych, iż tak strasznie cierpią. Zapominają o tem na chwilę. Czasem tylko słaby jęk i głośnie zakłęcie wyrwie się któremuś z ust.

Gwar rośnie.

— Leguny, przestańcie, bo nie można zacząć! woła koncertantka.

Ktoś deklamuje. Jest cisza — — Słowa lecą, jak pieniaste strzały, rwą się, ulatują, gasną — — skończył.

Burza oklasków. Kto ma zdrowe, nie podziurawione kulami ręce, bije z całych sił.

Twarze rannych nabierają żywych kolorów.

Ktoś gra na skrzypcach — — Taki smutny, cudy nokturn, że dusza drga. Twarze powlekają się zadumą, mgłą melancholii. O czemś myślą — — Snują się wspomnienia — te najdroższe, najśladźsze — —

Wreszcie ktoś śpiewa — — I z piersi żołnierzy wyrzywa się lekki wtór, jakby echo rozdrzganym strun, dźwięczących w niewidzialnej dali — —

A wreszcie: piosenki legionowe.

Wtedy śpiewają wszyscy. Jak tylko mogą. Czasem chore piersi wyteżają się do śpiewu, jakby pragnęły wyrzucić cały swój żal i wszystką utajoną, drżącą w duszy moc.

I leci pieśń:

Wojenko, wojenko,

Cóżeś ty za pani — — —

I drzy w powietrzu i nad głowami leżących snuje się jak tęsknota, którą rozbudziły miękkie jej melodye. Pianista wstał od fortepianu. Koncert skończony.

Burza oklasków. I znowu gwar, śmiechy — —

A potem wloką się ranni na wózkach do cichych

sal, unosząc ze sobą krótką chwilę radości i szczęścia — jedyną chwilę zapomnienia w szeregu długich, monotonicznych dni cierpienia.

Lwów, w lutym 1919.

Zdobycie i obsadzenie Góry Stracenia.*)

Adolf Wietchy, starszy zbójmistrz 11 baonu taborów wojsk austriackich, stojącego załogą przy ul. Janowskiej, w dniu obsadzenia koszar przez wojska ukraińskie, zorganizował odbicie powyższych koszar, zawierających magazyny ubrań, broni i sprzętów.

Umówiwszy się poprzednio nocą z kapitanem artylerii, stojącej podówczas w Rzęśnie polskiej, plan ów przeprowadził z dwoma legionistami 2 listopada 1918. Legioniści wpadli do koszar już około 7 rano od ulicy Kordeckiego, dawszy parę strzałów rozbili straż ukraińską pełniącą służbę i objawszy koszary w posiadanie zaczęli czempredziej wywozić nagromadzone tam zapasy do szkoły Sienkiewicza, Konarskiego, Bursy akademickiej i Domu techników.

Wietchy Adolf, przydzielony następnie do żandarmerii polowej w szkole Sienkiewicza, idąc dnia 4. listopada ulicą Janowską zobaczył leżącą placówkę w ogrodzie przy ulicy Janowskiej l. 68 i przyłączył się do niej zauważywszy, że po Górze Stracenia uwiązują się patrole ukraińskie, zdążające ku cmentarzowi żydowskiemu.

Dzięki por. Abrahamowi, który pospieszył z pomocą polskiej placówce, na prośbę Wietchego, i tyralierą począł się posuwać ku Górze Stracenia od ulicy Świętokrzyskiej, a następnie rozpoczynał regularne ostrzeliwanie Góry Stracenia z karabinu maszynowego. wyparto nieprzyjaciela, zdobyto całą Górę i cmentarz, biorąc do niewoli 2 ukraińców i 1 żyda. W ten sposób zdobyta Góra Stracenia utrzymali Polacy. wśród gradu kul armatnich i karabinowych, aż do 22. listopada. Tak to siłą bardzo nieznaczną, mimo dziesięćkrotnej przewagi nieprzyjaciela i wyćwiczonego jego żołnierza, powiodło się małej garstce, w której przeważały prawie dzieci, zająć punkt bardzo ważny w listopadowych bojach o polskość Lwowa. W walkach tych odznaczyli się niebywałą odwagą ppor. Kozak i szeregowiec Kazimierz Dąbrowski.

Ci, co odeszli.

S. p. Stanisław Koniuszewski.

Padł jak podcięty przedwcześnie kłosa w siedemnastej wiosnie życia pod gmachem sejmowym dnia 9 listopada 1918 r. Lwowianin, kochał swe miasto rodzinne całą gorącością młodzieńczych uczuć i ofiarnością gotową bez namysłu poświęcić wszystku, co najdroższe mu było, młodość i życie, gdy ukochanemu miastu zagroził wróg.

Poszedł na placówkę pod gmach sejmowy po kilkudniowych ćwiczeniach wojskowych z kolegami ósmej klasy IV gimnazjum, którym przodował nie tylko wybitnymi zdolnościami i obowiązkowością, ale niezwykłą powagą, dojrzałością ducha i łagodnością charakteru.

*) Artykuł ten ogłaszamy na podstawie materiałów zbieranych i łaskawie nadsyłanych prof. Adamowi Cehakowi Stodorowi, które mają mu posłużyć do napisania monografii dni listopadowych 1918 r. Dziękując za łaskawie nadesłane, uprasza prof. Cehak (patrz ogłoszenie w Nr. 1 „Placówki“ str. 30) o dalsze nadsyłanie materiałów pod jego nazwiskiem do Redakcji „Placówki“ (ul. Akademicka 3. II. p)

Jasna, dziecięco niewinna, pogodna zawsze jak wiosenny dziołek twarz jego jednała mu serca wszystkich; kochało go bardzo rodzeństwo, rodzina, koledzy; cenili i kochali profesorowie. Ojczyzna przyjęła ofiarę młodego życia jako trybunę przynależny sobie.

Pięć kul karabinu maszynowego ugrzęzło w młodej ciele; trzy przeszły jasne myślenie czoło i głowę, dwie utkwiły w brzuchu i bohaterskie zwłoki padły martwe pod gmachem sejmowym, gdzie przez dziewięć dni leżały pod gołym niebem, gdyż przystęp do nich stał się niemożliwym.

Obłożnie chora matka Spartanka, gdy wyprawiała go w pole, nie mniej ciężką składała ojczyźnie ofiarę. Starszy syn walczył pod Kaniowem i do chwili oblężenia Lwowa nie miała o nim żadnej wiadomości; drugiego już zatem syna oddawała ojczyźnie.

Gdy mu z błogosławieństwem zawieszała na piersiach poświęcony medalik, powieki jej nie roniły łez, mężne miłością ojczyzny owiane jej serce wolne od nienawiści wroga, błagało cicho Boga, by osłaniał to drogie dla niej życie, a służyć ojczyźnie mimo to pozwolił.

Z miłością ojczyzny w sercu, wolny od nienawiści wroga, poszedł jej syn i tak szli jego koledzy do walki razem z nim, jak to stwierdził w pogrzebowej mowie ich katecheta ks. Szmyt.

Ostatnią posługę oddali mu koledzy — złożyli zwłoki ukochanego Stasia na tymczasowym cmentarzu bohaterów w ogrodzie przy gmachu politechniki. Wojenny miał pogrzeb wówczas — nie było ojca ni matki ani rodziny — Matka przykuta do łóżka boleści, nie pożegnała syna na wieczny spoczynek — ojciec w służbie cywilnej ojczyzny powołany do Warszawy nie wiedział o śmierci syna — działo się to pp. Piórkiewicz w zajętej przez Ukraińców części miasta, odcieci od córki dopiero po uwolnieniu Lwowa dowiedzieli się o żałobie jaka okryła ich dom. Głos ten znieśli bez skargi, tylko policzki dziadka zacnego Prezesa Towarzystwa Pedagogicznego zapadły się głębiej a w oczach posępny zatlił się płomień tłumionego bólu — tylko babkę cierpienie pochyliło — lecz nie złamało.

Dnia 5. stycznia przeniesiono zwłoki młodego bohatera na cmentarz Łyczakowski.

Tam spoczął w gronie obrońców miasta Lwowa, żegnany przez wszystkich co go kochali i znali, a czysta ofiarą jego dusza wraz z duchami tych wszystkich, co życie położyli na krwawych placówkach za wolność i sławę ukochanego rodzinnego miasta a tem samem ojczyzny, patronować będzie przed tronem Boga w słusznej sprawie naszej.

Kpt. Franciszek Kruk-Grzybowski.

Wyruszył w pole 6-go sierpnia 1914 roku, w drugim plutonie pierwszej kadrowej kompanii, jako starszy żołnierz. Podporucznikiem w roku 1914 mianowany, całą wojnę przetrwał w 1-szym pułku piechoty Legionów, jako komendant plutonu i kompanii. Po rozłamie w Legionach w 1917 r. na włoski front ruszył, skąd uciekający do Królestwa się przedostał. I w 1918 r. znowu widzieli go w polu w 8-mym p. p. Legionów jako kapitana.

Oficer w każdym calu, do wojny jak stworzony, zetażnego zdrowia, wszystkie kampanie przetrwał w polu, ani razu nie ranny, ni chory. Takiego tylko wojna mogła zmordować, to też i padł pod Kozicami 18-go lutego b. r. Padł śmiercią bohatera, śmiercią prawego oficera polskiego, pozostawiając żal ogólny za sobą. Ubywa nam z nim jeden z tak potrzebnych nam dzisiaj instruktorów i to jeden z najlepszych.

Słusznie rzec o Nim można, że jak jako jeden z pierwszych w pole wyruszył tak całą wojnę między „pierwszymi” przeżył. Padł teraz okrywając żałobą i pulk swój, gdzie służył i pulk piąty piechoty Legionów, do którego duchem należał, gdy dziś prawie wszyscy oficerowie i żołnierze z 1-szego i 5-tego pułku 1-szej Brygady w 5tym się skupili.

Do mogił w tyłu stronach świata rozsianych przybywa nam jeszcze jedna. We Lwowie spoczął w krótkim przeciągu czasu drugi kapitan, który z pierwszej Brygady wyszedł. Po Wilku-Wyrwińskim poszedł swe służby Najwyższemu zameldować Kruk-Grzybowski.

Lwów, 19. lutego 1919.

R. W.

Obrońcom Lwowa.

Pamiętne dni listopada, pamiętne bohaterską obroną Lwowa, zyskały nową formę upamiętnienia a to krzyż żelazny obrony Lwowa. Krzyż taki może otrzymać każdy, kto brał udział w walkach od 1. do 22. listopada. Z żelaza sporządzony, zawiera w środku herb Lwowa z napisem: „Lwów 1-XI—21-XI 1918”. Wraz z krzyżem nadane będą ozdobne dyplomy sporządzone na kredowym kartonie. Dyplom ozdobiony pięknym inicjałem w postaci orła białego na amarantowym polu a pod nim napis: „Krzyż obrony nadaje za dzielność i trudy, poniesione w bojach o całość i niepodległość Rzeczypospolitej w czasie oblężenia Lwowa od 1—22. listopada 1918 r., poniżej herb Lwowa a dalej podpis naczelnego komendanta W. P. we Lwowie i oficera sztabu.

Pierwszy otrzymał taki krzyż brygadier Czesław Mączyński, któremu wręczono go uroczystie przed paru dniami, w obecności oficerów oraz przedstawicieli ówczesnego Komitetu obywatelskiego pp. T. Cieńskiego, dr. L. Stahla i dr. M. Chłamtacza. Przy tej sposobności przemówił do solenizanta kap. dr. Jakóbski oraz przedstawiciele Komitetu, przemawiał też brygadier Mączyński, który następnie krzyże obrony Lwowa wręczył cywilnym członkom Komitetu obywatelskiego i wielu wojskowym, podkreślając ich zasługi około obrony polskiego miasta.

W czasie uroczystości, której przebieg miała charakter bardzo serdeczny, przygrywała na pl. Maryackim orkiestra wojskowa.

!Z tamtej strony frontu.

Niemcy austriaccy w służbie ukraińskiej.

Na dworcu w Krasnem pełniło służbę 2 oficerów austr. (niemców), których niebawem wysłano na front. Z końcem stycznia przybyło z Austrii około 10 oficerów, niektórzy z żonami i zgłosili się do służby w wojsku ukraińskim. Pytani, co ich do tego skłoniło, odpowiadali, że brak środków do życia.

Ukraiński park lotniczy.

Ukr. park lotniczy składał się początkowo z 3 aeroplanów, którym brakowało gum do kół, zastąpiono to powozami ze słomy. Jeden z tych latawców przy pierwszym startowaniu rozbił się, lotnik pokaleczył się. Drugi funkcjonował dobrze. Miał nim lecieć na Lwów lotnik (Czech). Wsiadł do latawca z walizką i więcej nie wrócił. Za jakiś czas sprawdzili ukraińcy 3 samoloty, z Ukrainy. Te były dobre. Obsługa i lotnicy mówią po rosyjsku.

Żydzi w wojsku ukraińskim.

W Stryju i w Krasnem służą — wedle zeznań wiarygodnych osób — przy wojsku ukr. — Żydzi n. b. dobrowolnie.

„Karbowańce”.

Sekretariat ukr. zach. republ. ogłosił przymus przyjmowania ukraińskich pieniędzy papierowych t. zw. karbowańców. Kurs początkowo oznaczono 250 K, potem obniżono na 2 K. Żydzi i chłopci boją się przyjmować te pieniądze i wolą oddać towar bezpłatnie.

Polacy i żydzi podlegają przymusowemu poborowi.

Około 9. lutego ogłoszono w Stryju ógólny przymusowy pobór wojskowy bez względu na narodowość i wyznanie.

Ceny środków żywności w Stryju.

Mały chleb — 9 K 60 h, 1 kg cukru w kostki — 100 K, cukru grysikowego lub z głowy — 56 K, 1 kg mięsa — 10 K, jajo 70 h do 1 K, 1 litr nafty 14-16 K (n. b. bez kartki), mąki brak. Za chleb na kartki Polacy płacą drożej od ukraińców o kilkadziesiąt halerzy.

Miscellanea.

To, co być nie powinno. Szpital. Przed bramą sanki, auta, nosze. Przynoszą, przywożą rannych. Pełno pań i panienek, panów też. Wszyscy wlepiają ślepią na potęgę. Słyszą westchnienia i jeki współczucia. Ranny też jęknął. Patrzą, kolega X! — Gienek, tak cię boli? Boli — to gapiostwo.

Prawda, we Lwowie mało widowisk. Na miły Bóg, nie powiększajcie liczby ich tem, czego na widowisko obracać się nie godzi...

Kooperatywy żołnierskie. Wojsko jest jednym z czynników wychowania narodowego. Każdy, kto sercem i rozumem tkwi w wojsku przykładą ręki do tego, by młodzi ludzie, służący pod karabinem nie cofali się w rozwoju, ale co więcej powiększali walory swe wewnętrzne i by starali się ludźmi bardziej związanymi ze społeczeństwem. Jednym z naczelnych postulatów budowy przyszłości jest rozwój spółdzielczości. Wzorem naszych świetnych pułków legionowych, np. pułku 4-tego twórzmy po naszych oddziałach kooperatywy. O wskazówki, o ludzi kierujących nie trudno, wszak dużo ludzi w ostatnich czasach zajmowało się konsumami, bankami spółdzielczymi itp. Zresztą chętni uwagami służy redakcyja nasza. Zadanie praktyczne kooperatyw bardzo jasne. Przedewszystkiem spożywcze. Wszyscy wiemy, że „menaż“ nasza jest zdrowa i jak na piąty rok wojny obfita, ale i wszyscy czujemy, że ruch i świeże powietrze nigdy nie pozwala krzyknąć „a tom się nażarł“. Ponadto gra tu rolę i pewna psychoza wojenna — uderzmy się pięścią w pierś — nienasytości — niemiecka Nimmersattwerden, a w końcu i tesknota do słodkości... Herbaciarnie przeznaczonych komitetów Polek nie mogą spełnić całej roli do nich można pójść dopiero po służbie innaczej „kanarek“ bierze cię za kark i — najgorsze — ma świętą rację.

Pobliskie zaś sklepiki i „dra“ i tuczą „neutralnych“... Dalej spółdzielcze sklepy z przyborami żołnierskimi drobnej sorty, czy pewne kooperatywne ułatwienia nabywania różnych potrzeb żołnierskich w zakresie odzienia, czapek itp. Bliższych szczegółów nie wprowadzamy, planów nie kreślimy — rzucamy pobudkę do pracy wartę zachodu.

Lektura żołnierska. Czego żołnierze nie czytają, pożal się Boże! Temu ciecie czy babcie dały jakieś okropne romanse, drukowane w Gródku i Łodzi, tamten „zarekwirował“ wytłuszczone „szerloki“ — innemu wpadł w ręce Nietzsche, Dante i Cwerciakiewiczowa — nudzi się, na koniec poziewa i drzemie, choćby kuferki latały, jak wyzwicka na podwórzu koszarowym. Bo też, czego nie dają niektórzy filan-

tropi lekturowi! Cenniki, kalendarze, prospekty, sprawozdania towarzystw nawet. Poprostu obowiązkiem inteligenta, mającego jaką taką biblioteczkę pomódz w szukaniu lektury człowiekowi z mniej oświeconych sfer lub młodzikowi. (Tu nasuwa się zaraz uwaga wybaczenie, że piszę tak, jak myśli się cisną — jak my mało mamy dziś rzeczy popularno naukowych, które chętnie bywają czytane, ale to zupełnie popularnych. Zwłaszcza z przyrody, geografii, fizyki, astronomii — nie mniej i z innych działów... Dawniej Królestwo rzucało na półki księgarskie moc „broszurek“, dziś posucha). Można też urządzić kółko lekturowe Chętnie każdy da pewną sumkę, książki nabędzie się bez trudu, czy to w antykwariach, czy to „po ludziach“, którzy dziś radzi sprzedają, co się da. Jeśli 30 ludzi się złoży, przez 30 dni każdy może mieć nową książkę. Po miesiącu rozłosowuje się książki, ewentualnie zamieni w antykwaryacie za inne. Spróbujcie, koledzy!

Uczmy się obcych języków! Dolatują nas echa żywej pracy oświatowej w naszych szeregach. Już zdołano zorganizować odczyty, pogadanki, teatry, tworzą się biblioteczki. Słyszymy, że wielu kolegów w chwilach wolnych ima się samouczków i na gwałt przyswaja sobie obce języki — w pierwszym rzędzie francuski i angielski. Zbożny to cel. Polska musi mieć „swe miejsce pod słońcem“ — musi brać żywy udział w życiu gospodarczem kuli ziemskiej i stykać się wiele z różnymi narodami. Niech nikt przeto, kto może, nie ociąga się przed nauką obcych języków. Kto jest w świecie, niech korzysta ze szkół i nauczycieli obcych języków, gdyż żywe słowo, to nie martwy papier — żeby ci nikt, kolego, w Anglii nie rzekł, usłyszawszy mówiącego cię po angielsku — „ale, jak polszczyzna jest podobna do angielskiego!“ Kto stoi dalej niech się skomunikuje z Nimi, kto dzięki osobistym warunkom nabyć należytej wprawy w obcym języku nie może. — Sądzimy, że koledzy, znający obce języki, spełnią chętnie tę — śmiało rzecz można, powinność.

Uznając doniosłe znaczenie obcych języków „światowych“ musimy dodać, że warto nam się uczyć języków sąsiedzkich, może mniej popularnych — jak rosyjskiego, chorwackiego (serbskiego), rumuńskiego. Szczególnie powinni to czynić umiejący już języki „światowe“. Ze względu zaś na niesłuchanie zdrowy typ kulturalno-cywilizacyjny człowieka, do jakiego doprowadzono w Skandynawii, możeby kto się chciał uczyć po szwedzku, duńsku lub norwesku?

„Legioniści“. Większość ludzi zowie W. P. „legionami“ a niemal powszechnie żołnierza naszego chrzci się przydomkiem „legun“ lub „legionista“, a jakby na udokumentowanie tego moc kolegów pod orłem strzeleckim nosi na tarczy literę L. Nie poma, że legiony nasze okryły miecz polski niewiedzącym wawrzynem, a legionistę już otuliła „złoto skrzydła legendy historia i zawiodła do panteonu“ — ale z tego panteonu go nie wyciągamy i żołnierza polskiego nie nazywamy „legionistą“, wszak słońce chwały wiekuiście połykiwać będzie w szabli konfederatów, na ostrze bagnatów powstańczych czy w pobłyskach bomby bojowca — a przecież nikt nie honoruje nikogo przydomkiem: „konfederat“, „powstaniec“, „bojowiec“. Co się skończyło, ma koniec i basta, mówił raz pewien sierżant. Wprawdzie wyraz „legio“ oznaczało w wojsku rzymskim tylko jednostkę taktyczną, nasz pułk jednakowoż z biegiem lat pod nazwę legionu (a właściwie legii, bo w języku łacińskim legio jest rodzaju żeńskiego) wkra-

dło się inne znaczenie. Wojska, które walczą pod obcymi sztandarami, nie dla zysków materialnych jak kondotyerzy, ale dla zmanifestowania pewnych idei. A więc republika cisalpińska miała w wojsku własnych obywateli, którzy bili się pod rodzinnym sztandarem: legiony Dąbrowskiego, ludzi obcych, bo Polaków, którzy w cudzem wojsku walczyli w imię idei „gli liberi nomi sono frotelli“, ufni, że już wolni podadzą rękę niewolnikom-zbawcom.

Różne były legiony w Europie, filhellenów w powstaniu greckim, garibaldeczyków w wojnie francusko-pruskiej, macedońskie w wojnie bałkańskiej, — wreszcie stała legia cudzoziemska we Francji, zawsze byli to obcy, walczący dla własnej idei pod obcymi, cudzymi znakami. Takimi też legionami były nasze wojska od 16. sierpnia 1914 począwszy. Dziś mamy własne państwo, własne wojsko, a nie legiony. Oczywiście kto miał zaszczyt bić się w latach 1914—1918. w pułkach legionowych, ten może nosić dumne miano „legionisty“, a właściwie — ex-legionisty, podobnie jak pułki b. legionów, obecnie formacje W. P., mogą zachować starorzymską nazwę „legionu“ jako zaszczytne wyszczególnienie.

Spółżycie z gazetą. My żołnierze tworzymy jedną wielką naszą rodzinę, a głową rodziny Wódz Naczelny, a w tej rodzinie jest ciocia, która zwyczajem cioc, choć nie stara, owszem bardzo młoda — chętnie kuzynkom służy radą, doświadczeniem, poucza, informuje, zabija nudy, słowem jest najlepszym członkiem rodziny.

Taką ciocią żołnierską jest „Placówka“. Żeby wszelako „Placówka“ mogła należycie spełniać funkcje prawdziwej nieodzownej koleżanki żołnierza, musi z nim często rozmawiać, wiedzieć, czego on pragnie, co go cieszy, a co martwi, czego potrzebuje i o czym myśli. Powiadają ludzie, że gdy przed dekadą okazywało się „Placówka“, z herbaciarni i gospod zaraz ją ktoś „zachamuje“ — tak jest popularna, ale żeby mogła się doskonalić, chce słyszeć zawsze opinię żołnierza. Chce znać go bezpośrednio. Chętnie służy mu każdym wyjaśnieniem, każde zapytanie, czy porada znajdzie odpowiedź w rubryce „Skrzynka Redakcyj“. Coś ci się nie podoba, nie gadaj głośno na ulicy — pisz do „Placówki“. Chcesz by „Placówka“ cała tętniła nerwem żołnierskim pisz do niej i wyzbyj się przesądu, że „do gazet“ może pisać tylko „gazeciarz“ i że Redakcja przyjmuje tylko pisma „do druku“. Jesteśmy wielką rodziną żołnierską i radzi widzimy szczere pogawędki familijne.

O pieśń żołnierza!

Wieczorem, kiedy nieliczni przechodnie błądzą po ulicach ciemnego miasta, zdaleka dolatuje cię pieśń choralna. Melodya jej prosta, niewyszukana, dziwny budzi nastrój u słuchacza. Przebija się w niej tęsknota, ta beztroska o jutro, czasem zabrzmi serdeczny akord a inny obudzi zapal i uspiione siły.

To piosenka żołnierza! Któż ich uczył tej piosenki? Któż ją stworzył? czy może natchniony poeta a muzykę dorabiał mistrz tonów. Nie! Powstała tak od siebie, z wewnętrznej potrzeby, tak dla fantazyi, dla rozweselenia i odpędzenia smutnych myśli, dla zabicia czasu, w okopach, w koszarach lub na samotnej placówce.

Stworzył ją żołnierz. Nieudolny rym, treść banalna a nieraz rubaszna lub trywialna, melodya gdzieś zaślizgana przypominała się i ot piosenka gotowa.

A przecież w tej piosence nieuczzonej, krystalizuje

się całe życie żołnierza, jego troski, nadzieje i radości, przypomina mu drogie osoby, dom rodzinny i twarzą, nie pewną jutro, dolę żołnierza, któremu może jutro wierny koń wygrzebie mogiłę. Przechodzi ta pieśń niepostrzeżenie jak i jej narodziny. Za jednią idzie druga a potem trzecia, pierwsza ginie w niepamięci lub zastępuje się do nowych warunków, nowych słów lub nowej melodyi. Jest jednodniówką.

Wiele z tych pereł fantazyi, połotu myśli, ginie zapomnieniu fali.

Nikt nie znalazł się nikt coby je zebrał i dla przyszłych przecnował pokolen. Z nich kiedyś muzyk, poeta lub przyszły historyk kultury z tej strasznej epoki wydobydzie to, co w nich było wartościowego i w nowej formie dla przyszłych zachowa lat i znów jeden ślad tego zmagania się narodów zostanie utrwalaony.

Zbieramy pieśni gminne ludowe, czując w nich skarbnicę narodowej poezyi, zbierajmyż więc i piosenkę naszego żołnierza.

Bo gdy przejdzie wojna i nastanie na ziemi błogi i upragniony pokój i zapanuje na ziemiach naszych nowa praca odradzającej się ojczyzny, piosenka prosta niewyszukana często bez a nieraz i z trywialną treścią przejdzie jak sen niepostrzeżenie. I nie zostanie z niej nic prócz wspomnienia, że kiedyś były i istniały.

Dr. Stanisław Zarewicz.

Recenzye i sprawozdania.

Książki.

Inż. January Grządziński: Do lotu. (Szkice o żeglarsztwie powietrznym). Wydane w Zamościu, 1918. Jedna, nie wielka wprawdzie objętością, ale miła i dająca zupełne pojęcie o istocie lotnictwa cegiełka, w tak szczupłej naszej literaturze fachowej tego przedmiotu. W trzydziesto-stronnicowym szkicu daje nam autor krótki przegląd wysiłku opanowania powietrza, omawiając następnie lotnictwo wojskowe. Rzecz sympatycznie i literacko napisana zachęca bardzo do bliższego zajęcia się i zapoznania z tą tak piękną dziedziną.

Dr. Bronisław Pawłowski: Nasze wysiłki zbrojne doby porozbiorowej. (Zarys organizacji). Warszawa 1918.

Mamy tu krótką historję naszych wysiłków orężnych doby porozbiorowej. Omawia autor poza sprawą Legionów Dąbrowskiego i wojsk księstwa warszawskiego, wojska Kościuszkowskie i powstania z 1863 i 1831. Książeczka pożyteczna bardzo jako krótkie vade mecum dla wykładów w kompanii, nie ujmuje jednak całości zadania. Zbyt pobieżnie traktuje wysiłki lat 1848, 1863. zupełnie nie zwracając uwagi na rok 1905. Może to i słuszne, gdyż autor zajmując się w swej broszurce wojskową, techniczną niejako stroną walk tych, dał tylko za obszerny tytuł, który pozwala domyślać się więcej.

Stefan Żeromski: Wisła. Wydane przez Tow. Wydaw. w Warszawie 1918.

Świetna rzecz o Wiśle samej i jej dorzeczu, mimo całej swej literackości dająca bardzo dokładny obraz kraju i zaczepiająca o najróżniejsze zagadnienia społeczne, historyczne i etnograficzne. Bije z niej duch tęskniący za obszarami wielkimi, duch Jana z Kolna „najdzielniejszego żeglarsza Bałtyku i najśmielszego syna Polski, co w XV stuleciu na ubogim statku waregskim, pierwszy z ludzi europej-

skich na gruncie Ameryki stopę postawił, opłynął wybrzeża Labradoru i odkrył cieśninę Anjanu.“ Mała to książeczka, ale pobudzająca do wielu rzeczy, i zmuszająca myśleć. Jak wszystko Żeromskiego tak i ta rzecz nie przechodzi bez wrażenia i bez śladu.

An oni Chołoniewski: Gdańsk i Pomorze Gdańskie. Uzasadnienie naszych praw do Bałtyku. Kraków 1919. „Polska oczekuje od kongresu narodów przyznania sobie wybrzeża morskiego i dogodnego portu. Wystarczy Jej zwrot własności historycznie, geograficznie i narodowo naszej“. Udowodnieniem właśnie tej naszej własności co do Gdańska i Pomorza gdańskiego zajmuje się Chołoniewski w niniejszym szkicu. I udaje mu się to w zupełności. Bo i nie może być inaczej, wobec pracowicie zebranych i zestawionych cyfr i dat z historii i statystyki zapelniających tę książeczkę. Przytaczać ją powinien każdy, kogo interesuje Polska powstająca, każdy kto poznać chce Polskę w całych, pełnych jej granicach.

Dr. E Rappaport: Carat i rewolucya. (Trzy lata za frontem rosyjskim). Warszawa 1919. Jak sam autor powiada głównym motywem napisania tej książki, była chęć podzielenia się wrażeniami z trzech długich lat, spędzonych na tułaczce w Rosji. A miał się czem dzielić szanowny autor. Nadzwyczaj też zajmującą, łatwo w gawędziarskiej formie opowiada nam przeżycia swe od opuszczenia Warszawy aż po 1918 rok. Przesuwają się przed oczyma naszymi jedynie w swoim rodzaju sceny, za upamiętnienie których wdzięczni musimy być autorowi. Spokojnie, bezstronnie opowiada o carskich rządach, o politycznych kłótniach o przejściach całej gromady, zagnanych w obce stosunki Polaków, poznajemy galerię całą typów od tego oficera polskiego co z Ameryki do Francji na bój o Polskę przywędrował, jak rany brał w Legion etranger za Polskę. Znajdziemy w tej książce dosłownie wszystko, bezpretensjonalne a zajmujące pele-mele z bogatego pełnego wrażeń życia. Więcej niż połowę książki zajmuje jej część druga traktująca o Rosji rewolucyjnej i bolszewickiej. Dotyka w niej autor i historii żołnierza polskiego i szkoły polskiej, i literatury i prasy z tamtej strony frontu. Jedna to z pierwszych książek tego rodzaju, ale też choć i inne przyjdą, ta swej wartości nie straci.

R.

Kronika.

Zawieszenie broni. Dzięki interwencji misji koalicyjnej, bawiącej we Lwowie, przyszło w 6 tygodniu do zawarcia tymczasowego zawieszenia broni między wojskami polskimi a ruskimi, operującymi w Galicyi wschodniej. Układ ten może być wypowiedziany na 12 godzin na ręce misji.

Obsadzenie Cieszyńska przez wojska polskie. Na mocy ugody wojskowej zawartej w nocy z 24. na 25. bm. pomiędzy wojskami polskimi i czeskiemi, wojska polskie obsadziły we środę 26. bm. Cieszyń, Frysztat, Trzciniec i Jabłonków. Zagłębie węglowe obsadzą oddziały koalicyjne. Przyjdzie też niewątpliwie do uruchomienia kolei między Polską a Czechami.

Pras. pozalwowska o Lwowie. „Głos Narodu“ w Krakowie zamieścił w nr. 7 z dnia 15. stycznia artykuł Dr. Orłowskiego p. t. „Ze Lwowa i wschodniej Galicyi“, Kurjer Polski z Warszawy zamieścił w nr. 30 i 31 z 6. i 7. bm. artykuł p. K. Wój-

cickiego o Lwowie p. t. „Nowy Zbaraż“; artykuł ten ma być przetłumaczony przez min. spr. zagr. na język franc. i wydany, jako ulotne pismo.

W „N. Reformie“ artykuł p. Wieniawskiej p. t. „Plebiscyt Lwowa trwa“.

Zmiany w Komendzie ruskiej. Wedle doniesienia „Naszej mety“, dziennika ruskiego, wychodzącego we Lwowie zamiast zawieszonego „Wperedu“, ustąpił sekretarz stanu spraw wojny Witowski, oraz szef sztabu gen. pułkownik Myszkowski. Następcą Witowskiego został pułk. Kurmanowycz, kto zajął stanowisko szefa sztabu gener., nie wiadomo.

„Dzika gwardya“. Pisma warszawskie donoszą interesujące szczegóły o uciążliwych przemarszach wojska maj. Dąbrowskiego, którego oddziały używały sobie przydomek „Dzikiej gwardyi“. „Dzika gwardya“ po niezmiernie ciężkich i forsownych marszach, w czasie których wśród mrozu i wichrów robili żołnierze po 60 wiorst dziennie, po wybudowaniu mostu na Niemnie (koło Orli) i kilku zwycięsko stoczonych bitwach z bolszewikami osiągnęła w Prużanach (gub. grodzieńska) łączność z Warszawą. A trzeba dodać, że żołnierze gwardyi po tej prawdziwej Odysei weszli do Prużan bosy prawie i obdarcy, zaledwie z kilkunastoma nabojami na karabin.

W Prużanach oddział zdobył i naprawił 12 wiorst wąskotorówki do Linowa. W Linowie zdobyto od Niemców ogromne składy amunicji, materiałów wybuchowych, miotaczy min i bomb, rakiet, pochodni, wartości kilkunastu milionów marek.

Dnia 14. lutego stoczył maleńki oddział „dzikiej gwardyi“, złożony z 50 piechurów pod dowództwem kap. Mielnickiego walkę z 5 komp. warszawskiego pułku bolszewickiego w sile około 200 ludzi, którą wyparł z miasteczka Kartuzka Bereza. W walce wzięto do niewoli 82 bolszewików, zdobyto 2 karabiny maszynowe, przeszło 100 karabinów ręcznych, kilka tysięcy naboji, kuchnię polową, 12 okulbaczonych koni, amunicję, granaty itp.

Zapłata za znalezioną broń. Dowództwo W. P. „Wschód“ ogłasza: Za zdobyty karabin rosyjski, niemiecki lub austriacki z bagnetem w dobrym stanie płacić się będzie po 30 K., za karabin zaś uszkodzony lub bez bagnetu, albo zamku, stosunkowo do zmniejszonej wartości mniej, potrącając za bagnet z pochwą 7 K. 50 h., za zamek 15 K., za skrzynkę zawierającą 1000 ładunków amunicji płacić się będzie do 50 K. Odbierać oraz wypłacać powyższe premie będzie zbrojownia Artylerji W. P. we Lwowie, przy ul. Podwale l. 13, która zarazem będzie baczyć, czy broń nie należy już do jednego z oddziałów W. P. i nie zostaje oddaną tylko celem uzyskania ogłoszonej nagrody.

Tragiczny zgon polskiego lotnika. Przed paru dniami wylądował na polu wzlotów pod Skierniewicami por. Pomian Śrzednicki, a przy ponownym puszczeniu w ruch smugi, uderzyła ona lotnika w głowę z taką siłą, że kask pękł a ś. p. Śrzednicki zmarł w godzinę po wypadku. Liczył lat 29.

Rocznica śmierci pułk. Mościckiego. W dniu 19. bm. minęła pierwsza rocznica męczeńskiej śmierci pułk. Mościckiego, dowódcy I. p. ułanów. Dzielny ten żołnierz przyprowadziwszy do I. korpusu wschodniego pułk swój, ozdobiony wawrzynem walki pod Krechowcami i obroną Stanisławowa przed bandami „rewolucyjnej armii“ rosyjskiej, w przebraniu wyruszył do Brześcia lit., aby nawiązać łączność między wojskiem polskim, sformowaniem na obczyźnie, a krajem. W drodze zamordowany został przez bandę

bolszewicką, Śmierć ta głośnem echem odbiła się w I. Korpusie i pograżyła w prawdziwym smutku tych, którzy pracowali dla idei wojskowej polskiej, w szczególności zaś Krechowiaków, którzy swego pułkownika czcili i kochali, jak ojca i mieli do niego nieograniczone zaufanie. Ś. p. pułkownik Mościński pochowany został w Mińsku Litewskim. Cześć pamięci żołnierza, który polskość swą przechował przez długi czas służby w tajgach syberyjskich, a służbę swą wojskową zakończył godnie, przypieczętowawszy ją krwią dla ojczystej sprawy,

Ofiarność na wojsko. Zrozumienie konieczności tworzenia silnej armii wzrasta w społeczeństwie naszym z każdą chwilą, wzmacniając ofiarność na ten cel. Coraz częściej słyszy się o dobrowolnym opodatkowaniu się całych grup pracowników biurowych, handlowych i t. p. Ostatnio oficerowie Departamentu Artyleryjskiego Min. Spraw. Wojsk w Warszawie opodatkowali się dobrowolnie na rzecz Wojska Polskiego na przeciąg trzech miesięcy w stosunku 3 proc. od zasadniczej pensji i pierwsza powstała stąd kwota w sumie mk. 828.45 za m. luty została już wpłacona do Wydziału Gospodarczo-Skarbowego Min. Spraw Wojskowych wraz z ofiarowanymi w srebrze: rb. 1.70, pół marki i kor, 1,20 w monetach niklowych.

Polski Czerwony Krzyż. W Warszawie utworzył się przed paru dniami Komitet Polskiego Czerwonego Krzyża, obejmujący całe państwo. W porozumieniu z organizacją galicyjską i będąc w kontakcie z organizacją poznańską, dotychczasowy komitet w myśl zapadłych uchwał powołał do współpracy pod flagą Czerwonego Krzyża przedstawicieli najpoważniejszych instytucji samarytańskich jak: „Koła profesorskiego pomocy dla rannych żołnierzy”, „Pogotowia ratunkowego”, „Sanitariusza”, „Stow. lekarzy polskich”, „Koła ziemianek” i t. p. Polski Czerwony Krzyż w myśl wzniosłych haseł samarytańskich dążyć będzie, w porozumieniu z odnośnymi władzami wojskowymi do objęcia całkowitej opieki nad rannym i chorym żołnierzem oraz nad jego potrzebami. Wobec tego wskazane jest, aby wszystkie instytucje w państwie i wszyscy obywatele, w akcyi dotyczącej pomocy dla żołnierza porozumiewali się z Komitetem Polskiego Czerwonego Krzyża, który udzieli im odpowiednich wskazówek i zapewni współdziałanie. Komitetowi należy się też pomoc najszerza.

Raut Czwartaków. Dnia 4-go b. m. w salach Ratusza odbędzie się raut 4-go pp. Legionów. Protektorat objeli: pp. marszałkowa Wołkowska i gen. Rozwadowski. Łaskawy współudział przyrzekły panie i panowie: E. Bandrowska, Miłowska, Zacharska, Kuligowski, Łowczyński, Okoński. Początek o godz. 7-iej wieczorem. Dochód przeznaczony na wdowy i sieroty po poległych w obronie Lwowa Legionistach. Po zaproszenia zgłaszać się należy w Kasynie miejskim codziennie między 1-3 popołud.

„Dowództwo 2-go pułku strzelców lwowskich” poczuwa się do nader miłego obowiązku złożenia publicznie najserdeczniejszego podziękowania J. W. P. Lidii Münzowej i Córcie za uzyskanie z rozsprzedaży 160 kart pułkowych na fundusz wdów i sierót po żołnierzach tego pułku, poległych w obronie m. Lwowa 2400 (dwóch tysięcy czterysta) koron, oraz tym wszystkim instytucjom i osobom prywatnym, które raczyły ją poprzeć w tej humanitarnej czynności.

Komendantem m. Krakowa mianowany został w miejsce gen. Madziary, który ustąpił z powodu złego stanu zdrowia, gen. Józef Stiller. Nowy komendant m. Krakowa pochodzi z rodziny znanej z patriotyzmu

i jest synem uczestnika walk o niepodległość z roku 1863-go.

Skład misji koalicyjnej, bawiącej od ub. tygodnia we Lwowie, przedstawia się następująco:

Francja: gen. Berthelemy, major Detoile, major Vicaire i por. Lamarque.

Anglia: Gen. Carton de Viart, pułk. Smyth, kap. Meule.

Stany Zjednoczone Ameryki: Prof. uniw. Lord, por. Forster, dziennikarz mr. Bass.

Włochy: Major Stabile, por. Pergolesi.

Ponadto do misji przydzieleni zostali z ramienia Rządu Polskiego: Minister Wacikowicz, prof. Dąbrowski i por. Szczepanowski; z ramienia N. D. W. P. major Hempel,rotn. Kochanowski, por. Potocki, ppor. Michałowski, Mycielski, Zaleski, Bałaban i Busath, wreszcie z ramienia Biura prasowego dr. Z. Kempicki.

Z załobnej karty. W Warszawie zmarł przed kilku dniami śp. Stanisław Jezierski, jeden z najwybitniejszych działaczy społecznych i urzędowych na Ukrainie. Mimo młodego wieku — liczył zaledwie 36 lat — zdołał sobie zdobyć ogólny szacunek i uznanie dla swej pracowitości i talentu organizacyjnego. Szczególnie zasłużył się śp. Jezierski w czasie wojny, pracując w organizacjach ratowniczych wychodźstwa polskiego. Brał również żywy i czynny udział w życiu politycznem polskiem jako członek stronnictwa demokratyczno-narodowego. Ostatnio, jako poseł ludności polskiej na Ukrainie, miał uczestniczyć w konstytuancie ukraińskiej. Do Warszawy przybył niedawno na czele delegacji Polaków z Rusi, aby uzyskać dla społeczeństwa tamtejszego przedstawicielstwo w Sejmie. Zmarł na tyfus płamisty.

Teatr Wodewilowy.

W satanicznym trzymana stylu, w kolorach czerwonym, czarnym i srebrnym, z tajemniczymi maskami po ścianach a z czterema pysznymi u sufitu pajakami świetlnymi w kształcie rzeczywistych... pajaków, która już przed wojną mieściła w swych ścianach teatrzyk pod świetną dyrekcyą Krzyżanowskiego, stała się od niedawnego czasu przybytkiem Teatru Wodewilowego. — Potrzeba takiego teatru dawała się już od dawna odczuwać, dlatego prawdziwą trzeba czuć wdzięczność dla obecnej Dyrekcyi, iż mimo nader trudnych warunków, do których przedewszystkiem trzeba zaliczyć brak światła, nie szczędziła pracy, by teatrzyk sprawnie mógł fungować.

Na przedstawienie składają się zazwyczaj jedna komedijka i dwie sztuczki ze śpiewami, nieraz drobne operetki, w których prym wiodą p. Folański i pani Dracową, wnosząca ze sobą na scenę spory zasób elementu ożywczego. Z pośród innych wykonawców wymienić należy pp. Brulińskiego i Tatrzańskiego. Na pochlebną wzmiankę zasługuje też nader miła i dobrze zgrana orkiestra.

A nakoniec pod adresem Dyrekcyi jedna tylko skromna uwaga, w której z pewnością jesteście rzecznikami całej publiczności, ten teatr odwiedzającej. Oto uwagą tą jest prośba o skrócenie przydługich a niezmiernie nudnych, nudzących i nużących antraktów. Minęły dziś już czasy, kiedy to „gość” chciał „za swoje pieniądze” sporo w teatrze odsiedzieć czasu. Dziś czas drogi, większość publiczności, to kawalerowie, skazani na stołowanie się po restauracjach, dla których późny koniec przedstawienia łą-

czy sie z niemożnością zjedzenia kolacyi. Wszyscy zresztą wolimy się dziś pośmiać krócej a intensywniej, niż... na raty!

Ryb.

KĄCIK HUMORYSTYCZNY.

(Śpiewka na melodyę z operetki: „Książę Bobo“).

Oj na amory
„fegun“ jest skory
i romansuje, że aż fe!
Lecz do żenienia
niema natchnienia,
— żonę — bez ślubu tylko chce!
darmo qanienka, obraz cnót —
gotuje, szyje jakby z nut,
nie czuły na to — podnosi bunt, —
że żona głupstwo — a wojsko grunt!

Strasimenus.

Rozkazy i rozporządzenia.

Organizacya Zandarmeryi na terenie operacyjnym w Gal. wsch.

Ważne tylko na czas wojny.

I. Zandarmerya Krajowa.

1) Główne Dowództwo Zandarmeryi we Lwowie (równa się Dow. przy Gen. okręgu Dow. na terenie nieoperacyjnym).

2) Dowództwo Zandarmeryi obszarów etapowych (równa się Okręgowemu Dow. Zandarmeryi).

a) Dowództwo Zandarmeryi obszaru etapow. Lwów z powiatami: Lwów, Gródek Jagiell., Żółkiew i Rawa Ruska.

b) Dow. Zandarmeryi obszaru etapow. Przemyśl z powiatami: Przemyśl, Jarosław, Łańcut, Nisko, Cieszanów, Przeworsk i Mościska.

c) Dow. Zandarmeryi obszaru etapow. Sanok z powiatami: Sanok, Brzozów, Dobromil, Lisko i Stary Sambor.

Dowódcami Zandarmeryi obszarów etap. są sztabowi oficerowie Zandarm. albo starsi rotmistrze.

3) Powiatowe Dow. Zandarmeryi w powiatach wyżej podanych; powiatowymi Dowódcami Zandarmeryi są rotmistrze i porucznicy Zandarmeryi.

4) Posterunki Zandarm. w liczbie stosownie do potrzeby odnośnego powiatu.

Komendantami posterunków są wachmistrze Zandarmeryi.

Stosunek służbowy zandarmeryi do Władz wojskowych.

Zandarmerya Krajowa podlega na terenie operacyi „Wschód“ na czas wojny przez Komendę swoją Dow. W. P. „Wschód“.

Posterunki Zandarmeryi podlegają służbowo i administracyjnie oficerom Zandarmeryi (Powiatowym Dowódcom Zandarmeryi) z swego powiatu, ci znow podlegają w drodze Dowództwa Zandarmeryi obszarów etap. Głównemu Dowództwu Zandarmeryi we Lwowie.

Wojskowe Dow. etapowe i powiatowe mają się zwracać w wypadkach dotyczących służby Zandarmeryi do odnośnego Dow. Zandarmeryi.

Tylko w nagłych, nie cierpiących zwłoki wypadkach, mogą władze wojskowe zarządzić wprost interwencyę Zandarmeryi, donosząc o wydanym rozkazie równocześnie odnośnemu Dowództwu Zandarmeryi, któremu posterunek Zandarmeryi bezpośrednio podlega.

W ostatnich wypadkach musi być wydany rozkaz pisemny (w braku czasu dodatkowo), przyczem zaznacza się, że w podobnym wypadku ponosi całą odpowiedzialność za dany rozkaz odnośna Komenda wojskowa.

Komendantom Placu podlega kwaterowana w ich miejscowości Zandarmerya tylko co do dyscypliny wojsk.

Referentem dla spraw Komendy Zandarmeryi Krajowej przy Dow. W. P. na Gal. wsch. Kwatermistrzostwo jest Głó-

wny Dowódca Zandarmeryi we Lwowie, względnie delegowany przez tegoż zastępca.

Prokuratorya Państwa, Sądy i Władze polityczne mają prawo bezpośredniego wezwania pomocy posterunków Zandarmeryi w myśl ustawy zandarmskiej § 7. i instrukc. służb. § 34—45 włącznie.

II. Zandarmerya polowa.

Zandarmerya polowa, której zadaniem jest służba wojsko-policyjna na tyłach armii operacyjnej, podlega bezpośrednio formacyom bojowym, a to: Dow. W. P. na Gal. wsch. Dywizjom, Brygadam i samodzielnym Grupom.

W myśli tej zasady formują się Oddziały Zandarmeryi polowej pod komendą oficerów przy Dow. W. P. na Gal. wsch. w Dyw. gen. Leśniewskiego Brygadzie lwowskiej, Grupie Tokarzewskiego, Brygadzie Kułmskiego, Grupie Sikorskiego, Grupie Ziemińskiego, Grupie Minkiewicza, Grupie przemyskiej, Grupie Lupaczowskiej i przy Kwatermistrzostwie.

Oddział uzupełniający dla oficerów zandarmów polowych formuje się w Głównym Dow. Zandarmeryi we Lwowie.

Komendant Zandarmeryi polowej przy Dow. W. P. na Gal. wsch. jest zarazem Referentem całej Zandarmeryi polowej, którą to czynność wykonuje w zastępstwie według wskazówek Głównego Dowódcy Zandarmeryi we Lwowie.

III. Lotna Zandarmerya.

W obrębie terenu operacyjnego W. P. na Gal. wsch. formują się Oddziały lotnej Zandarmeryi dla rozbrojenia cywilnej ludności i mniejszych band rabunkowych na tyłach operacyjnych Armii. Celem uniknięcia nadużyć należy do rekwizycyi używać przede wszystkim lotnych Oddziałów Zandarmeryi. Każdy lotny Oddział Zandarmeryi tworzy dla siebie jednostkę bojową składając się z oddziału pieszego, patroli konnej, oddziału karabinów maszynowych, patroli sanitarnej i taboru. Oddziały lotnej Zandarmeryi wykonują służbę wedle rozkazu Grup operacyjnych, którym zostały przydzielone. Ze względu na trudności wyszkolenia zawodowych zandarmów, a więc ze względu na materiał, który nie da się tak rychło uzupełnić, nie dozwala się użycia tychże Oddziałów wyłącznie do celów bojowych.

Wszystkie personalne i organizacyjne sprawy Zandarmeryi należą do kompetencji Głównego Dowództwa Zandarmeryi we Lwowie.

NADESŁANE.

Za tę rubrykę Redakcyja nie odpowiada.

Sekundaryusz szpitala powszechnego

Dr. Z. Grossek

ordynuje w chorobach skórnych i wenerycznych
od godz. 11—2. Lwów, Rynek 41, I. p.

WEZWANIE.

Biuro prasowe Dow. W. P. na Gal. wschodnią uprasza o jak najrychlejsze zgłaszanie wszelkich wiadomości o faktach znęcania się wojsk ukraińskich nad jeńcami wojennymi i cywilnymi, uprasza również osoby, które przybyły z tamtej strony frontu, o jak najrychlejsze zgłaszanie się, celem podania wiadomości dla rozdzielonych.

Biuro prasowe Dow. W. P. na Gal. wschod. Lwów, ul. Fredry 1. 2. mezanin.